MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 16. WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

Z ZACHODU NA WSCHÓD

Z WIELKOPOLSKI I POMORZA dochodzą coraz częściej wieści, iż do tych dwuch województw wdziera się żywioł żydowski i zajmuje opróżnione przez Polaków w następstwie kryzysu lokale handlowe i warsztaty rzemieślnicze. W ostatnich tygodniach doniosły nawet pisma poznańskie, iż w stolicy Wielkopolski powstał Bank Żydowski, zorganizowany przez przymusowych emigrantów z Niemiec Pozatem kapitał żydowski opanowuje w pewnym stopniu placówki gospodarcze zapomocą Polaków, którzy służą żydom jako parawan. Napór żydowski nosi charakter planowy, a natężenie jego zwiększa się od r. 1926 z coraz mocniejszą siłą. Od tego roku bowiem żydzi nie napotykają na przeszkody w wykonaniu swojego planu ze strony czynników administracyjnych, a nawet administracja występuje coraz częściej w obronie żydów, gdy społeczeństwo polskie podejmuje samoobronę z zalewem żydowskim. Ta opieka rozzuchwala żydów i pcha ich bardzo często do wystąpień o charakterze prowokacyjnym.

Na szczęście Polacy z Wielkopolski i Pomorza należą do zwolenników obozu narodowego, a prasa naszego kierunku i wszystkie komórki organizacyjne nieustanie wskazują na niebezpieczeństwo żydowskie. To narodowe stanowisko społeczeństwa powstrzymuje napór żydów. Zresztą mieszczaństwo polskie ziem zachodnich zdaje sobie sprawę ze skutków zalewu żydowskiego i broni się przed nim wszelkiemi środkami. Obrona ta posiada nietylko znaczenie lokalne, ale ogólno narodowe. Wszyscy, którzy doceniają znaczenie kwestji żydowskiej w Polsce, wiedzą, iż istnienie zwartego terytorjum w państwie polskiem bez żydów może odegrać olbrzymią rolę w rozwiązywaniu kwestji żydowskiej w całej Polsce. Tutaj można nie tylko bronić się przed zalewem żydowskim, ale przygotować się organizacyjnie do planowej walki z żydowstwem we wszystkich dzielnicach Polski. Zresztą najlepszym środkiem obrony jest zawsze atak. Na dłuższą metę nie można nawet wyobrazić sobie, aby miasta w Wielkopolsce i na Pomorzu obroniły się przed żydami, gdy oni w innych częściach Polski będą przemożnymi władcami życia gospodarczego.

Rozumieli to już oddawna kierownicy ruchu narodowego w Wielkopolsce, jak i światli przewódcy mieszczaństwa zachodniej Polski, którzy patrzyli na proces polszczenia się miast Wielkopolski i Pomorza. W Wielkopolsce i na Pomorzu polskie mieszczaństwo wyparło żydów, a następnie już za czasów polskich i Niemców w sprzyjających okolicznościach. Były więc sprzyjące warunki, ale zasługą Wielkopolan i Pomorzan jest umiejętne ich wykorzystanie i stworzenie odpowiedniego systemu organizacyjno-ekonomicznego, który wyszkolił całą falangę kupców, rzemieślników i przedsiębiorców. Proces polszczenia miast w tych dwuch województwach przyśpieszyło powstanie niepodległego państwa polskiego. Polacy z zachodnich Niemiec przybyli w swoje rodzinne strony i zajęli placówki po Niemcach i Żydach.

W tej kolonizacji pomogli rodacy z Ameryki i ze wszystkich dzielnic Polski. W bardzo krótkim czasie po odbudowaniu Polski zauważono, iż w Wielkopolsce i na Pomorzu wytworzył się nadmiar kupców i rzemieślników. Sprzyjał temu procesowi okres inflacji, podczas której wzmógł się olbrzy-

mio popyt na towary. Po miastach i miasteczkach ziem zachodnich ilość sklepów i warsztatów rzemieślniczych powiększyła się kilkakrotnie. Tam, gdzie był przed wojną jeden skład np. kapeluszy, powstało 4 lub 5. Gdy nastąpiła stabilizacja waluty, wtedy pokazało się, iż jest nadmiar kupiectwa w tych dzielnicach i to prawie w każdej branży. Zauważono, iż robi się ciasno. Wtedy w sferach politycznych i organizacjach kupiecko-rzemieślniczych powstał ów plan kolonizacji miejskiej b. Kongresówki i innych dzielnic Polski przez mieszczaństwo zachodnie. Powstały odpowiednie wydziały przy „Rozwoju" w Poznaniu. Z rozmaitych stron Polski żądano przesłania do miast i miasteczek kupców, rzemieślników, przedsiębiorców i pośredników. Byli nawet tacy nieliczni Wielkopolanie czy Pomorzanie, którzy poszli w myśl tej akcji nawet do województw wschodnich. Nie wielu ich było jednak, a i z tych nielicznych niektórzy jeszcze wrócili. Akcja nie dała większych rezultatów i jakby się urwała.

Dlaczegoż ta akcja o tak doniosłem znaczeniu przybrała niepomyślny obrót? Złożyło się na to wiele czynników. Przedewszystkiem przyzwyczajenia i usposobienie Wielkopolan i Pomorzan. Żyją oni w warunkach ekonomicznych i prawnych względnie uregulowanych. Przytem czują się oni silnie w gromadzie, społem, gdy ramię jednego dotyka ramienia drugiego. Także przyzwyczaili się już do całego swojego aparatu bankowego i kredytowego. W pojedynkę, w oderwaniu od gromady tracą swoją pewność. Znaczna ich część także nie chciała przenosić się na Wschód, ponieważ przyzwyczaiła się już do wyższej cywilizacji materjalnej. Lepsze i piękniejsze mieszkania, wodociągi, kanalizacja, czystość miast i miasteczek zachodniej Polski trzymały ich, chociaż kurczyły się zarobki. Wschód Polski był dla nich jakby innym światem, pod wielu względami w ich oczach niższym. To ich odstraszało i mroziło najlepsze plany i zamiary.

Kryzys gospodarczy wytworzył jednak takie warunki, iż mieszczaństwo z Wielkopolski i Pomorza zmuszone będzie szukać chleba w innych dzielnicach kraju. Tembardziej, iż już przybyły nowe roczniki. Konieczność i potrzeba są twórcami bardzo często wielkich rzeczy. W tym wypadku jesteśmy tego świadkami. Coraz częściej kupcy z Wielkopolski lub Pomorza przenoszą się do miast i miasteczek centralnej i wschodniej Polski, a nawet do Warszawy. Przynoszą oni ze sobą fachowość kupiecką czy rzemieślniczą a nawet nieco kapitału. *Ta fala z zachodu na wschód może odegrać wielką rolę, jeżeli ujmie się ją w odpowiednie formy organizacyjne.* Z jednej strony koloniści z Zachodu powinni poznać teren, na którym chcą pracować. Bez zapoznanie się z warunkami miejscowemi łatwo mogą ulec konkurencji żydowskiej, która na nich zastawi wszelkie sidła. Nie mniej jednak Wielkopolanie i Pomorzanie mogą nietylko stworzyć polskie placówki ekonomiczne, ale także wyszkolić i wychować całe szeregi kupców i rzemieślników z okolicznych wsi. Do jednego i do drugiego potrzebna jest odpowiednia organizacja. Niestety musimy stwierdzić, iż systematycznej akcji i świadomej organizacji dla tej fali nie posiadamy do tej chwili. Każda bowiem taka praca napotyka na olbrzymie trudności ze strony czynników, które powinny ją wspierać.

Mimo jednak wszystkie trudności, ten pochód z zachodu na wschód, ta ekspansja mieszczaństwa polskiego z Wielkopolski i Pomorza musi znaleźć odpowiednie formy chociażby tylko przy politycznych organizacjach narodowych. Zanim powstaną warunki powołania do życia wielkiej organizacji finansowo - gospodarczej, któraby ten nurt ujęła w odpowiednie łożysko, i zanim dojdą do władzy rządy, które przez swoją politykę świadomie przyczynią się do stworzenia mieszczaństwa polskiego i wypierania żydów, trzeba aby organizacje narodowe stworzyły wydziały, czy sekcje, które będą zajmowały się zbieraniem informacyj ze wszystkich stron Polski w tym zakresie i kierowały do odpowiednich środowisk miejskich kupców i rzemieślników polskich. Przytem należy zorganizować grono fachowców, którzy reflektantów będą nauczali o metodach żydowskich i zarazem, przynajmniej w ogólnych zarysach, pouczą o warunkach miejscowych.

Pracy takiej w tej chwili sprzyjają warunki: przeludnienie wsi, nadmiar mieszczaństwa w Wielkopolsce i na Pomorzu, a wreszcie kryzys światowy żydostwa. Żydzi międzynarodowi nie mogą już w dotychczasowy sposób wspierać żydów w Polsce.

JÓZEF PETRYCKI

RZĄDY MASONERJI I ŻYDÓW WE FRANCJI

OD CRÉMIEUX DO CHAUTEMPS

BANQUE DE FRANCE znajduje się w rękach finansistów żydowskich (Rotszyld, Fould-Oppenheim, Hirsch, Dreyfus, Reinach i t. p.). Parlament i senat, obsadzone są przez ich kreatury, które pilnują interesów wielkiego kapitału, w gruncie rzeczy żydowsko-masońskiego. Cały aparat gospodarczy Francji jest w rękach drobnej grupki kapitalistów, żydów albo aryjczyków—masonów. I oni to rządzą Francją, mając w swych rękach aparat administracyjny, opinję, konserwę, i demokrację. W salonach obecnie ton nadaje plutokracja żydowska, arystokraci pożenieni z żydówkami. Przykład: książe de Ligne i ks. de Wagram skoligaceni z domem Rotszyldów, książę de Polignac z p. Mirés, książę de Richelieu z p. Heine, ks. de Elchingen z inną p. Heine, książe d'Etampes z p.

Raminghen, markiz de Plancy z p. Oppenheim, markiz de Salignac-Fénélon z p. Hertz, książę de Fitz James z p. Loewenheim, markiz de Las Marmies z p. Jacob, książę della Rocca z p. Emdenheim, markiz de Breteuil z p. Fould, vicehrabia de la Panouse z p, Heilbronn, markiz de Saint-Jean-de-Lentillac z p. Harmann-Oppenheim, wicehrabia de Quelen z drugą Oppenheimówną, markiz Violet de Presle z p. Klein, markiz de Grouchy z p. Haber, markiz de Noailles z p. de Greffulhe-Lackman... Tę listę kompletnie zażydzonej arystokracji francuskiej można ciągnąć bardzo długo. Ta sfera ma też swego poetę dekadenckiego żyda M. A. Spire, grasującego w salonach i swego filozofa, również żyda Bergsona, modnego w kołach katolickiej a zażydzonej konserwy francuskiej; zwłaszcza przed wojną na wykłady jego uczęszczały tłumnie arystokratki francuskie, a jakiego pochodzenia, łatwo się domyśl ć. Współpracownikiem ekonomicznym konserwatywnego *„Revue des Deux Mondes“* jest senator Raphäel-Georges Levy, prezes, wiceprezes i dyrektor zarządzający 19 spółek akcyjnych, jak oto: banki, kopalnie, koleje, węgiel, platyna, minerały, złoto, tytuń, ubezpieczenia. Żyd René Groos ogłosił się za integralnego nacjonalistę, sympatyka *„L'Action française“*. Cóż tedy mówić o radykałach, socjalistach i całej tak zwanej lewicy mocno zażydzonej i skrępowanej pętami masonerji.

Demokracja i socjalizm były i są zupełnie w rękach żydowskich. *„L'Humanité“*, organ francuskiej partji socjalistycznej, był założony za pieniądze żydowskich bankierów, z Rotszyldami i Dreyfusami na czele. Partja socjalistyczna francuska była i jest prowadzona na pasku żydo-masonów i służy interesom rządu, ale tajnego rządu żydowskiego, którego widomym organem jest *„L'Alliance“*. Miljoner żydowski Léon Blum, przywódca francuskich socjalistów, prowadzi politykę taką, że to się nie może pomieścić w głowie, ale staje się zrozumiałe, jeśli zważyć, że Blum jest wykonawcą postanowień *„Alliance israélite universelle“*.

„Bloc de Gauches“ został zorganizowany w lożach. Cały gabinet Herriota składał się z masonów z panią Moro-Giafferri włącznie, jako podsekretarzem stanu dla wychowania technicznego. Briand ten międzynarodowy polityczny „śpiewak“ francuski był masonem, jak i Stresemann i Chamberlain. Przewodniczący miedzynarodowego urzędu pracy przy Lidze Narodów, zmarły przad kilku laty Thomas był nietylko masonem, ale i żydem. Wszyscy wybitni ludzie bloku lewicy z Herriotem, Painlevé, generałem Sarrail, Frossardem, Drouotem, Brunetem, Buissonem, Longuetem, etc. etc., to — masoni.

Bloc lewicy, zorganizowany w lożach, wycelowany był przeciwko Blokowi narodowemu. Była to jawna mobilizacja masonerji kierowanej przez żydów, z których każdy miał ściśle wyznaczone sobie rolę.

Herriot wygłosił 17 czerwa 1924 deklarację ministerjalną o laicyzacji, a zaraz potem nastąpiły różne cyrkularze poszczególnych ministrów (między innymi François Albert, (oświata), i C. Chautemps, (sprawy wewnętczne), o działalności w kierunku całkowitej laicyzacji i wyobcowania spraw religijnych ze szkoły, zwalczania patronatów religijnych i ścisłego izolowania od wszelkich wpływów religijnych nawet stowarzyszeń sportowych. Minister wojny generał Nollet zabronił jakiegokolwiek stosunku między kościołem a orkiestrami wojskowemi, minister pracy Godart zniósł obowiązek uczęszczania do kościoła przez wychowanków różnych instytucji opieki społecznej. Nawet minister marynarki wtrącił się do spraw religijnych. Zdawałoby się że to drobne, nie wiele znaczące sprawy. „Wiele hałasu o nic“. Tymczasem były to tylko ogniwa wielkiego planu, urzeczywistnianego przez wolnomularstwo. Premier Herriot odsłonił bowiem nieco rąbek zasłony gdy 19 paźdz. 1924 w mowie wygłoszonej w Bulogne sur Mer powiedział że „Francja będzie miała i stotny charakter, jeśli państwo zostanie zupełnie zlaicyzowane. Po emancypacji szkoły, nastąpi wyzwolenie polityczne“. A jak miało wyglądać to wyzwolenie, to widzimy teraz dzięki temu, że pękła afera Stawiskiego. Pamiętajmy też, co mówi dziewiąty protokuł Mędrców Syjonu: „wtrąciliśmy się do jurysdykcji, do systemu wyborczego, do prasy, do wolności osobistej, a przedewstkiem do wykształcenia i wychowania, jako do kamieni węgielnych wolnego bytowania”.

Praca tu celowo i konsekwetnie prowadzona. Wielki Wschód rozesłał odpowiednie cyrkularze, w których umieszczono wskazania, jakich należy użyć środków, aby kraj opanować. To, co rząd wykonywał albo parlament uchwalał, było najpierw w lożach postanowione. Puszczono w ruch wszystkie stowarzyszenia i organizacje, bądź jawnie masońskie lub też w ten czy inny sposób poddane wpływom wolnomularskim, jako to: Liga Praw człowieka i obywatela, na której czele stoi żyd Basch, *Ligue de l'enseignement, Conférences populaires, Jeunesses laiques, Unions de combattants republicains, Syndicats d'instituteurs, Syndicats de fonctionnaires, Bourses du travail, Sociétés cooperatives, Organisations du Parti socialiste, du parti radical et radical socialiste du Parti republicain socialiste, Union syndicale des techniciens de l'industrie, du commerce et de l'agriculture*, działające wśród rekodzielników i robotników; *„Association philomathique, Association philotechnique, Association polytechnique,* przyczem te ostatnie trzy stowarzyszenia grupują pareset tysięcy osób, delej *Association polymathique, Union française de la Jeunesse, Cours du Grand Orient*, towarzystwo Czerwonego Krzyża, *Amicale des sportifs, Université musicale dramatique, Ecole de chant chorale, Fraternelle du cinéma, Amicale maçonnique du spectacle* i jeszcze wiele innych. Potężny wolnomularski splot, z którego to uścisku wężowego nie łatwo jest się wyślizgnąć narodowi francuskiemu. A dodajmy do tego jeszcze akcję w prasie. Blok lewicy, otrzymawszy dyrektywy z lóż, szedł do ataku wyborczo-parlamentarnego, żeby całkowicie opanować rządy we Francji w myśl pierwotnych instrukcji Cremieux. Pod koniec bowiem ubiegłego wieku zaczęła się we Francji budzić reakcja przeciwko rządom masońsko-żydowskim. Posiew Barrésa i Charles Maurrasa zaczął wydawać owoce: koło *l'Action française* grupowało się coraz więcej młodzieży narodowo myślącej. Wśród młodzieży literackiej pojawiają się wybitne umysły katolicko nastrojone, że wymienimy najważniejszych: Psichari (rodzony wnuk Renana), Claudel, Jammes, Peguy, Jaques Maritain, profesor filozofji w kolegjum św. Stanisława... Ankieta przeprowadzona przez Massisa i Alfreda de Tarde w r. 1912 wśród młodzieży francuskiej wykazała renesans religijny, wzrost ducha rycerskiego i uczuć patrjotycznych, słowem na czoło narodu wysuwał się nowy typ młodej elity intelektualnej, co świad-

czyło o przezwyciężeniu atmosfery stworzonej przez pokolenie zrodzone z klęski wojennej r. 1870. Było to groźne memento dla masonerji i ukrytych za nią żydów.

Wojna światowa pogrzebała wiele nadziei i planowanych urzeczywistnień. Na polach bitew poległ kwiat najdzielniejszej młodzieży francuskiej narodowo i religijnie usposobionej. Jeden z pierwszych zginął Psichari pod Rossignol. Po zakończeniu wojny masonerja rozpoczęła nową ofensywę, aby umocnić zagrożone pozycję i zdobyć we Francji wpływ niepodzielny. Poszło jej to tem łatwiej, że likwidacja wojny była organizowana przez wielki kapitał międzynarodowy, wśród którego tak wybitną rolę grają żydzi. Już w czasie konferencji pokojowej wpływ przemożny żydów i masonów kierowanych przez nich nieulegał najmniejszej wątpliwości i stawało się to widoczne dla każdego jako tako orjentującego się w arkanach polityki międzynarodowej. Rozpoczęto dezorganizację życia francuskiego z różnych stron. Robotę prowadzi się metodycznie według zgóry ułożonego w lożach planu. Lewica, zdobywszy władzę wykonawczą przez wybory (specjalne instrukcje Wielkiego Wschodu dla swoich ludzi o tem, jak urządzać hocki klocki przy skrutynjum i jak działać za pomocą „duchów“ wyborczych), ta lewica dąży konsekwentnie do zarządu krajem w myśl dyrektyw lóż. Wystarczy zestawić wystąpienia lóż i działalność premjera Herriota. Wszystkie pomysły lewicowych reform ekonomicznych i finasowych płyną z lóż, również źródła lożowe mają wszelkie projekty zbliżenia francusko-niemieckiego, co teraz podczas afery Stawiskiego zostało ujawnione szerokiej publiczności. Premier Chautemps, jak i wielu innych, wyrósł na drożdżach miljonów żyda i masona Stawiskiego, króla hochstaplerów politycznych. Wydawca radykalnej *Volonté*, „brat“ Dubarry — to złodziej kieszonkowy, a jego organ żył nietylko z kieszeni Stawiskiego, ale i z kubanów niemieckich. Na łamach *Volonté* żyd i mason Basch prezes Ligi obrony praw człowieka i obywatela występował stale przeciw Polsce. Wszytkie te pisma jak *Volonté*, Midi, i t. p. były nietylko lewicowo masońskie, lecz i germanofilskie — oraz — kryptożydowskie. Stawiski zmierzał także do wykupywania prasy prawicowej. Jest to tylko urzeczywistnianie planu lóż: jeśli się nie udaje jawne zwalczenie prasy narodowej, katolickiej, antymasońskiej i antyżydowskiej, wtedy należy postarać się zdobyć ją za pomocą tajemnego przenikania, a jeśli i to nie da się wykonać — wykupywać dzienniki, lub zakładać nowe. To też lewica masońsko żydowska posiadała oprócz pism specjalnie wolnomularskich jak *L'Acacia i Sous le Triangle* i dzienniki dla szerokich sfer publiczności.

Oficjalnym dziennikiem bloku lewicy i masonerji (Wielkiego Wschodu) jest *Le Quotidien*, na który dali pieniądze miljonerzy bracia Hennessy, właściciele papieru i fabryki konjaków, a jeden z nich, Jean, pospołu z Aulardem i Buissonem zasiada w zarządzie pisma. Drugim dziennikiem występującym w tej samej roli jest *Paris-Soir*. Znów *Notre Temps*, organ „brata“ Chabannes, propaguje zarazem neosocjalizm, czyli jakieś bliżej nieokreślone formy faszyzmu. W ten sposób masoni przygotowują sobie grunt do obsadzenia placówek w najprzeróżniejszych organizacjach społecznych i politycznych.

Często też masońskiemi pismami są i te, co do których działalności nazewnątrz niemożna powziąć podejrzenia, owszem występują one nawet przeciw masonom, ale dzieje się to w myśl zgóry powziętego planu, pamiętać bowiem trzeba, co mówi dwunasty protokół „Mędrców Syjonu“, że „między napadającemi na nas będą i przez nas stworzone organy, lecz te będą występowały jedynie przeciwko punktom, których zmianę postanowimy“. Organizacje dzienikarskie opanowane są też przez wolnomularzy np. sekretarzem międzynarodowego stowarzyszenia dziennikarzy jest mason Stephen Valot, bardzo ustosunkowany publicysta paryski. Również delagatury do Ligi Narodów obsadzone są przez wolnomularzy. Słowem cały zarząd krajem (parlament, senat, judykatura, policja, finanse, administracja, oświata, prasa, częściowo armja i marynarka) jest tak zmyślnie zorganizowany, iż najważniejsze funkcje wykonawcze i decydujące aparatu państwowego znajdują się w rękach braci lożowych, a pewne ważne stacje węzłowe są jeszcze w dodatku obsadzone przez żydów.

Zdarzają się tylko na szczęście pewne katastrofy, które kompromitują masonów i odsłaniają kulisy tej wielkiej gry, w której stawką jest Francja.

L'Affaire Dreyfusa, Panama, Stawiski, to te wielkie właśnie katastrofy odsłaniające całe moralne bagno, ale — co gorzej, a może nawet tem lepiej, bo wskazują one przerażonym oczom narodu, dokąd go mogą zaprowadzić rządy kliki masońskiej.

Gdy Henriot[1]) deputowany prawicowy wstąpił na trybunę parlamentarną z nowemi dokumentami kompromitującemi rząd Chautempsa, to cała lewica rozpoczęła piekielną wrzawę, uniemożliwiając mu przez dłuszy czas zabranie głosu, a wrzawa była tak okropna, że przewodniczący musiał przerwać na pewien czas posiedzenie. Zdajemy więc sobie dobrze sprawę, iż gdy powołane zostanie „jury honorowe” narodu wedle pomysłu Chautemps'a, czy komisja śledcza według wniosku socjalistów blumowców, złożona z przewodniczących obu izb, siedmiu deputowanych, prezesa rady państwa, pierwszego prezesa izby obrachunkowej oraz jednego z prokuratorów, czy jakaś inna jeszcze komisja; to obecnie, gdy rządy znajdują się w ręku kartelu lewicy, czyli masonerji, będzie to tylko pranie bielizny w rodzinie. Boć cały figiel masonów polega na tem, żeby sprawę przewlec, odroczyć, rozłożyć na pewien dystans czasu, no a „bracia”, jak się sprawa ucukruje, uleży, postarają się wyczyścić braci. Ginęły akta dotyczące szpiegów i zdrajców za rządów „brata” Crémieux, ginęły akta w okresie Dreyfussjady, giną już akta w sprawie Stawiskiego, który finansował kampanję wyborczą kartelu lewicy, który siedział w kieszeni Stawiskiego! Ministrowie, sądy i policja „szły na rękę” Stawiskiemu, gdy okradał społeczeństwo, bo mason Stawiski finansował zarazem imprezy wolnomularzy, którzy rządzą Francją dzisiejszą. Co za bagno! Oczywiście teraz rzecz główna w tem, aby nie stracić krwi zimnej i tak się urządzić, iżby przy zmianie osób aparat władzy państwowej pozostał nadal w rękach „braci”. Masonerja liczy na to, że przy utrzymaniu aparatu państwowego uciszy się jakoś, namiętności zaczną się uspokajać, afera się rozpłynie,

[1]) Uwaga: nie mieszać z przywódcą bloku lewicy, masonem Herriot'em.

ludzie zaczną zapominać, a „bracia“ w dalszym ciągu będą trzymać cugle w rękach. Rzecz teraz dla masonerji najważniejsza, aby tych cugli z rąk nie popuścić. W tym kierunku idą wszystkie usiłowania lóż, a gdy nie będzie można inaczej, masonerja zaaranżuje dyktaturę kartelu lewicy, czyli rządy wolnomularskie z pominięciem demokracji parlamentarnej a przy zużytkowaniu modnej dziś „silnej ręki“. Z jednej strony w kadrach neosocjalistów faszystowskich, przygotowanych na wszelki wypadek, rozlokowują się masoni, z drugiej strony wolnomularze zajmują różne pozycje także i w łonie komunistów i syndykalistów francuskich. Obserwując to, co się dzieje obecnie we Francji, widzi się wysiłki, inspirowane nietylko z lewicy, ale i z takich ośrodków, że to musi budzić zdumienie, jeżeli się zapomina o tem, że po całej Francji, a nawet po całym świecie idzie hasło: „dzieci Wdowy w niebezpieczeństwie“. Czuwają więc na całym świecie nietylko loże, ale — co ważniejsze, nie zasypia gruszek w popiele i *Habura Koł Izrael Haburim*, stworzona przez Crémieux, a będąca rządem tajnego kahału dostosowanego do czasów współczesnych.

Odruch moralny zdrowej części narodu francuskiego wskazuje, że najlepsi synowie ojczyzny zobaczyli bagno a zarazem i grozę położenia, przepaść, w którą się stacza Francja. Ale czy zdołają wykrzesać tyle siły, aby wyzwolić się z tej „niewoli egipskiej“? Życzymy im tego z całego serca, tem więcej, że leży to i w naszym interesie.

M. W-ki

NEOFICI ŻYDOWSCY NA ZACHODZIE EUROPY

(Dokończenie)

NAJPOWAŻNIEJSZYM terenem zastosowania idej Mojżesza Majmuniego stał się jednak przy końcu średniowiecza półwysep Iberyjski. Od r. 1391 kościoły katolickie napełniały się co pewien czas tysiącami Izraelitów wszelkiej płci i stanu, żądającymi chrztu. Wśród nowochrzczeńców przeważali ludzie zamożni, właściciele rozległych włości, dzierżawcy królewszczyzn, lichwiarze i handlarze niewolnikami. Stosując się do nakazu drugiego Mojżesza, zrywali oni pozornie z judaizmem. Królowie Kastylji i Aragonji patrzyli na to początkowo przez szpary. Władze nie domyślały się niczego, lub też udawały, że nie widzą obserwowania przez neofitów nadal obrządków żydowskich. Inkwizycja nie miała jeszcze podówczas nad nimi żadnej mocy, nie istniała bowiem w Hiszpanji. Z tych to kryptożydów utworzyła się liczna i wpływowa klasa, którą możnaby nazwać judeo chrześcijańską. „Byli to światowcy, którzy nad wszelką religję przekładali rozkosze życia, bogactwa i zaszczyty, sceptycy, którzy przyjęli wiarę chrześcijańską... bo otwierała przed nimi świat szeroki... Klasa ta podszyła się pod płaszczyk chrześcijaństwa, a nawet udawała żarliwą pobożność...“ pisze Graetz (Historja Żydów tom VI, str. 14) o nowochrzczeńcach hiszpańskich. Ludność starochrześcijańska spoglądała okiem nieufnem na tych swoich nowych współwyznawców i nadała im przezwisko „marani“ (*marranos*).

Wykształceni neofici, wśród których było wielu uczonych, lekarzy, pisarzy i poetów, dobiwszy się po pozornem przyjęciu katolicyzmu wysokich urzędów i zaszczytów, wiedli rej na zgromadzeniach kortezów, kierowali polityką w rządzie państwa i sprawowali władzę na stolicach biskupich. Traktując tubylców butnie i wyniośle, wzbudzili w nich marani niechęć i rozgoryczenie. Toledańczycy dali pierwsi upust swej nienawiści do wychrztów, uchwalając statut, w myśl którego kryptożydzi odsunięci być mieli od sprawowania wszelkich urzędów. Rozległy się ogólne skargi, że liczni marani, tak duchowni jak i świeccy, zakonnicy i zakonnice, przestrzegają potajemnie obyczajów żydowskich, odsuwając się od wiary chrześcijańskiej ku niemałej szkodzie i hańbie kościoła. Zwrócono uwagę na ożywioną działalność literacką licznych nowochrzczonych pisarzy i poetów, którym nieobcą była myśl podtrzymywania swojemi utworami niezadowolenia z chrześcijaństwa u neofitów. Wielu z wychrztów korzystało z każdej okazji, aby się wynieść z kraju cichaczem. Udawali się oni w tym czasie przeważnie do Czech, gdzie rozpoczynał swoją działalność Huss. Tam mogli ci pozorni chrześcijanie rozwinąć swoją działalność, szerząc w myśl idej Majmuniego poglądy wolnomyślne wśród słowian. Charakterystycznym jest ustęp z dzieła pisarza żydowskiego Geigera p. t. „*Proben judischer Vertheidigung*“, w którym autor, opisując wystąpienie Hussa na widownię reformatorskiej działalności, przypisuje nagły wzrost nauki, przeciwnej dogmatom Katolickim, wpływowi nawróconych pozornie na wiarę chrześcijańską żydów.

Dwór królewski, przepełniony dygnitarzami pochodzenia żydowskiego, starał się początkowo utwierdzić maran drogą łagodności w dogmatach chrześcijańskich. Gdy jednak pewien neofita obraził parę królewską przez ogłoszenie pisemka, w którem napadł na katolicyzm i ustrój państwa, usposobienie dworu zmieniło się zasadniczo. Ferdynand aragoński, ażeby poskromić zuchwałość nowych chrześcijan, którym zaczęto też zarzucać, że wspierają zamachy rewolucyjne podbitych maurów (Glatman. Szkice historyczne str. 103), postarał się w r. 1478 o *breve* Sykstusa IV, upoważniające go do utworzenia inkwizycji. Pod jurysdykcją tego pierwszego trybunału znalazła się przedewszystkiem Sewilla wraz z okolicą, gdyż okręg ten pozostawał pod bezpośrednią władzą królewską i nie posiadał kortezów, liczących wśród członków swoich nader wielu maranów. Powoli działalność inkwizycji, nie bacząc na stanowczy sprzeciw kortezów, rozszerzyła się w całem państwie. Nowi chrześcijanie postanowili nie poddawać się. Zajmując w kraju wysokie urzędy i wpływowe stanowiska, spokrewnieni z najznakomitszemi rodzinami, zakrzątnęli się oni gorliwie koło podsycania antypatji dla nowej instytucji. W Ternelu, Walencji, Levidzie i Barcelonie wybuchły przy wprowadzeniu trybunału gwałtowne rozruchy, zaledwie przelewem krwi uśmierzone. Dokonano zamachu na życie naczelnego inkwizytora Aragonji - Arbuesa, aby terrorem sparaliżować działalność znienawidzonej instytucji.

Inkwizytorowie rozpoczęli energiczną walkę o położenie kresu zbyt ścisłej zażyłości między maranami i ich prawowiernymi współbraćmi. W myśl nakazu drugiego Mojżesza żydzi utrzymywali z pozornymi chrześcijanami najściślejsze stosunki. „Dla swych nieszczęśliwych braci, którzy ze wstrętem musieli znosić maskę katolicyzmu, pisze Graetz (Historja żydów. t. VII. str. 98), mieli synowie Jakóba serdeczne współczucie i starali się utrzymać ich w kontakcie ze społeczeństwem żydowskiem". Zrodzonych w chrześcijaństwie maranów nauczali obrzędów judaizmu, zbierali się z niemi potajemnie na nabożeństwa, dostarczali im ksiąg religijnych, komunikowali im daty postów i świąt uroczystych, zaopatrywali ich na Paschę w przaśniki, a przez cały rok w mięso, przyrządzone według przepisów religji żydowskiej i obrzezywali ich nowonarodzone dzieci płci męskiej. Członkowie trybunału zażądali od rabinów, ażeby przyczynili się do zerwania kontaktu mas żydowskich z neofitami. Przewódcy Izraela nie dali się do tego nakłonić. Upatrywali oni bowiem w przyjęciu pozornego chrześcijaństwa przez tylu poważnych żydów „zwiastowanie doby mesjańskiej... i bliskość zbawienia" (Graetz. Historja żydów. t. VI. str. 15). Z pomocą inkwizycji przyszedł edykt królewski (31 marca 1492 r.), nakazujący wszystkim żydom hiszpańskim opuszczenie kraju. Głosił on, że Judejczycy zostali wypędzeni z kraju głównie za złośliwe odstręczanie nowochrześcijan od wiary katolickiej. Wielce pomocnymi dla wyznawców talmudu w tak krytycznych dla nich chwilach byli marani, których liczba niepomiernie wzrosła po ogłoszeniu edyktu. Wyruszającym w świat braciom okazali oni gorliwą pomoc. Wielu z nich przyjęło od wychodźców złoto i srebro bądź to w depozyt, bądź też dla odesłania im go przy okazji przez zaufanie osoby, lub wystawili wzamian weksle na miasta zagraniczne. Nowi chrześcijanie nie ustawali w gorliwych zabiegach o dobro swych wypędzonych współbraci. Sprawców przymusowej emigracji synów Jakoba prześladowali z nieubłaganą srogością. Mając się bardziej, niż kiedykolwiek na baczności i zyskując sobie niezmierną gorliwością duchowieństwo, oddawali nieprzyjaciół swoich w ręce inkwizycji.

Oprócz działalności inkwizycji zatruwała życie maranom nienawiść ludu. Handel na wielką skalę, lichwiarstwo, dzierżawienie dziesięcin kościelnych, podnoszenie cen na artykuły żywnościowe i wywóz ziarna zagranicę podczas nieurodzajów wzmagały ku nim antypatję starych chrześcijan. Doprowadziło to do stałej, potajemnej emigracji zamożniejszych wychrztów z półwyspu Iberyjskiego. Widzimy ich w Niemczech, Holandji, Francji, Anglji, Włoszech, Polsce i Turcji, prowadzących tam systematyczną robotę nad podważeniem kościoła. W Niemczech wybuchła w tej porze burza, która miała swe ognisko w ograniczonem kole żydowskiem. Niedarmo zaznacza Graetz (Historja żydów t. VII. str. 15), że „epokowy, ogólnodziejowego znaczenia noworodek (reformacja), który miał przeobrazić Europę, ujrzał światło dzienne w żłobie żydowskim". Te ścisłą łączność synów Izraela z reformacją uwydatnia też Geiger (*Proben jüdischer Vertheidigung*), podkreślając, że „żydzi, obserwując szerzenie się sekt religijnych w Europie, widzieli bezpośrednie uczestnictwo w nich pozornych chrześcijan".

Przy roszerzaniu się zamieszek religijnych we Francji, Holandji i Anglji wielce pomocnymi byli maranie. Dzięki wykształceniu, otrzymanemu w wyższych szkołach Hiszpanji i Portugalji, zamożności, oraz pompatycznym nazwiskom szlacheckim, które przejmowali ich przodkowie od chrzestnych rodziców, mieli ci pozorni chrześcijanie wstęp swobodny do najwyższych sfer wyżej wspomnianych krajów. Pod maską znakomitych cudzoziemców portugalskich i hiszpańskich szerzyli oni wolnomyślne poglądy wśród tamtejszych mieszkańców. Jako uczeni, lekarze i prawnicy, przestający na równej stopie z najwybitniejszemi znakomitościami naukowemi i politycznemi aryjskich społeczeństw, wywierali marani potężny wpływ na opinję publiczną. To też sekty religijne, wspomagane przez tak możnych sprzymierzeńców, szybko się rozszerzały. Czasami jednak wschodni temperament zbyt ponosił nieprzejednanych wrogów kościoła. Wtedy groźba zagłady wisiała nad pozornymi chrześcijanami, którym, jak pisze Graetz (Historja żydów. t. VII. str. 75), „niebardzo zależało na jawnem wyznawaniu wiary żydowskiej i czujących się dobrze w swem dwuznacznem położeniu". Publicznie oskarżani przez starochrześcijan francuskich o apostazję „cudem uniknęli rzezi nocy św. Bartłomieja" (Graetz. Historja. t. VII. str. 47). Tylko ofiarowaniem wielkich skarbów (złoto, nagromadzone w Europie od czasu odkrycia Ameryki, zdaniem historyków żydowskich zajdowało się w większości w rękach maran) wpływowym osobistościom Francji uniknęli maranie losu hugonotów.

W daleko trudniejszych warunkach przychodziło pracować kryptożydom hiszpańskim nad podważeniem Kościoła na półwyspie Apenińskim. Wpływ lekarzy żydowskich udostępnił wprawdzie pozornym chrześcijanom przenikanie do północnych Włoch i swobodne obracanie się po kraju. Niemniej jednak inkwizycja rzymska zmuszała ich do ostrożności. Nie mogąc otwarcie szerzyć niedowiarstwa wśród starochrześcijan przystąpili maranie do tworzenia licznych, tajemnych organizacyj, kierowanych zazwyczaj przez nich, a mających na celu nieubłaganą walkę z papiestwem. Były to, t. zw. „Akademje Nauk Tajemnych". Napróżno Rzym, niezadowolony z masowego napływu do Włoch pozornych chrześcijan, drogą amnestji pozwalał im na wykonywania praktyk żydowskich (dekret papieski z dnia 30 maja 1497 r.) Tysiące maran wolało zachowywać pozory prawdziwych katolików, chrzcić w kościele swe dzieci, brać śluby z rąk księży katolickich i ukradkiem tylko wykonywać przez szereg pokoleń przepisy religji żydowskiej. Umożliwiało to bowiem pozornym chrześcijanom spełnianie nakazów drugiego Mojżesza.

Rozpoczęli też ci przymusowi wychodźcy zaciętą walkę ze znienawidzoną przez nich Hiszpanją. Wyróżnił się na tem polu Józef Mendes-Nassi, agent sułtana Sulejmana, wspomagany przez rzesze marańskie. Ukrywając starannie przynależność plemienną (występował w Carogradzie jako „bej frankijski") starał się Nassi szkodzić wszelkiemi sposobami władcom hiszpańskim. Będąc w ścisłych stosunkach z guezami niderlandzkimi, zachęcał ich Józef Nassi do wytrwania w walce z Filipem II. Przyrzekał on im, że wpłynie na sułtana, aby tenże ujmując się za maurami, rozstrzelił uwagę Hiszpanów. W oczach maranów, zwalczających z wielką energją swoją dawną ojczyznę, nieudana wyprawa niezwyciężonej Armady Filipa II, zaczęła potęgować nadzieję, że z pomocą reformacji uda

się wypełnić nakaz drugiego Mojżesza, nawet w najbardziej oddanej Rzymowi Hiszpanji.

Co się tyczy maran, przebywających na półwyspie Iberyjskim, pozostali oni pozornie chrześcijanami w ciągu całych stuleci. Zapanowała u nich tradycja, że przynajmniej jeden syn z każdej rodziny winien stać się księdzem. A ponieważ nie brakowało im zdolności i sprytu, dochodzili przeto oni do najwyższych stanowisk duchownych. Wielu kanoników, sędziów inkwizycji, nawet spowiedników książąt krwi, pochodziło z żydów. Klasztory męskie i żeńskie były pełne wychrztów. Niejeden był z przekonań żydem, lecz dla dóbr doczesnych udawał chrześcijanina. Byli w Hiszpanji biskupi i pobożni zakonnicy, których najbliżsi przebywali zagranicą i wyznawali judaizm. Będąc w ścisłym związku ze swymi krewnymi z Holandji, Francji i Anglji pracowali oni stale nad osłabieniem monarchji hiszpańskiej. Pobożni i cisi prałaci i zakonnicy „żywili płomień swego przekonania i podkopywali potężne państwo następców Filipa II“ (Graetz. Historja żydów, t. VIII, str. 151). W ugrupowaniach monarchistycznych i kościelnych reprezentowany był zawsze żywioł marański w poważnej ilości. Niedawno korespondent dzienników syjonistycznych Eazrjel Karlebach pisał w maju 1931 r., że „wśród przewódców księży jest więcej maranów, niż wśród bohaterów rewolucji“.

STANISŁAW DIDIER

PRZECHWAŁKI

GLOSSY DO ARTYKUŁU MORSTINA O „*MUSEION*'IE“

Z KOŃCEM lutego przez 5 wielkich feljetonów „Czasu“ wywnętrzał się o sobie p. L H. Morstin, jako o wydawcy pisma „*Museion*“ przed wojną w Krakowie.

Sam tytuł zgrabnie ułożony podsuwa już suggestję ciekawą: „Zycie artystyczne Krakowa i Paryża (*sic!*) przed dwudziestu pięciu laty. . „*Museion*“. A dalej „zbliża się rocznica 25-lecia założenia w Krakowie i w Paryżu miesięcznika art. — lit. „*Museion*“. Autor usiłuje nadać głębszy walor i treść istotną faktowi, że jako adres redakcji podano Kraków i Paryż, tem że współwydawca Kościelski mieszkał w Paryżu.

W tem iście myśliwskiem opowiadaniu znajdujemy np. takie zdanie:

„Miałem wtedy dwadzieścia parę lat, z czem się bardzo kryłem. Byłem najmłodszym z redaktorów w Polsce, a może na całym świecie“. — Bujanie świadome.

1. O dwa lata wcześniej zaczął był wychodzić „Lamus“, którego redaktor M. Pawlikowski był w jednej klasie i jednem gimnazjum z Morstinem, a roku żadnego nie stracił, o czem M. wiedział i nie wiedzieć nie mógł.

2. Miesiąc przed „*Museionem*“ zaczął wychodzić w samym Krakowie „Miesięcznik Literacki i Artystyczny“ J. H. Retingera, który był o rok młodszy od Pawlikowskiego i Morstina i którego M. osobiście codzień niemal widywał.

Megalomanja autora przekracza wszelkie granice przyzwoitości. Oto co pisze: „*Museion*“ nie miał szczęścia, jak np. „Chimera“ Miriama, a jednak... jednak, gdy dziś przeglądam jego roczniki i porównuję z „Chimerą“, to bezstronnie sądząc widzę, że jego poziom był wyższy, strona zewnętrzna i układ bardziej harmonijny (*sic!*) i mniejsza ilość utworów zupełnie słabych (*sic.*). O „*Museion*'ie“ się zapomniało, jak i o „Skamandrze“ się zapomni, bo w Polsce pamięć jest b a r d z o k r ó t k a“. Autor nietylko sam grzeszy niepamięcią, co byłoby wybaczalne, ale ponieważ to jest nie do wiary, usiłuje fałszować historję przez przemilczanie zupełne „Lamusa“, tak jakby nie istniał i „Miesięcznika“ Retingera, tak jakby tylko jeden „*Museion*“ wogóle istniał w Krakowie i o nim tylko warto było gadać. Tem bardziej jest to wobec Retingera uczciwe i rycerskie, gdy ten, zamykając „Miesięcznik“, wezwał w ostatnim numerze czytelników, aby się zainteresowali „*Museion*'em, uważając to za akt kurtuazji i lojalności na terenie Krakowa.

Nie można bądź co bądź zapominać, że istniała jeszcze wtedy „Krytyka“ Feldmana, która była literacką ekspozyturą P. P. S.-u. O niej też Morstin milczy. Ostatecznie mógłby zamilczeć, gdyby nie to, co napisał: „Literatura odzwierciedlała ideologję wyzwoleńczą przewódców duchowych P. P. S. „*Museion*“ nawiązał ścisłe stosunki z ekspozyturą literacką tej partji w Krakowie“. Oczywiście M. niema na myśli „Krytyki“, a jeśli usiłuje suggerować że nawiązał te stosunki z instytucją wydawniczą „Książka“, to też jest blaga. Oto nie kto inny, ale Retinger poznał się dobrze z Dehnelem, Jędrzejowskim i Jodką, menerami „Książki“. Dali mu oni do druku Struga „Bajkę o Żelaznym Wilku“ i masę innych swych autorów. Retinger darował im nawet klisze do „Bajki“, na które nie mieli pieniędzy. Orkan, który drukował przedewszystkiem w „Lamusie“ a także potem u Retingera, został przez tego ostatniego polecony „Książce“.(„Krytyka“ drukowała też np. Daniłowskiego „Marję Magdalenę“).

Dalsza „granda“: „Z falangi Młodej Polski przeszli do „*Museion*'u“ Kasprowicz i Staff. Co to znaczy „przeszli“? Obydwaj poprostu „mieszkali“ w „Lamusie“, a drukowali pozatem tak samo u Retingera, jak w „*Museion*'ie“. Tak samo Orkan. — Kasprowicza „Chwile“ zaczął pierwszy drukować „Lamus“, Staffa „Sladem stopy antycznej“, „W cieniu miecza“ — Ludwika Staffa (pseud. Strzemię) wogóle tylko „Lamus“ wynalazł, Orkana hymn „Suplikacje“, najpiękniejsze jego poezje „Z Martwej Roztoki“, masę prozy tegoż etc., a z młodej Polski Wolska była najbliższą współpracowniczką „Lamusa“. Morstin podnosi, że dawał „Kasprowiczowskie przekłady“; tak jest: greckich tragików, które K. dawniej robił i miał gotowe,—ale „Lamus“ zamawiał różne przekłady u K. tak, jak z a m ó w i ł jeszcze przed samą wojną przekład 2000 wierszowego poematu Hussowskiego „O Żubrze“, który teraz z rękopisu wydaje Birkenmajer.

Jeszcze lepszy kawał: Morstin zanosi się dalej: „*Museion*“ sięga nawet do perskiego Omar Koyama (*sic!*). To już jest wyższy stopień tupetu! „Lamus“ wogóle odkrył Omara Khayama dla Polski, przed „*Museion'em*“ dał przekład Omara dłuższy od angielskiego przekładu Fitzgeralda,

dokonany przez M. Pawlikowskiego, i M. Wolską, a jaki, to warto zestawić! Dopiero potem zorjentowawszy się „sięgnął” po niego i „*Museion*”. Morstin wynosi się ze współpracownictwa K. M. Morawskiego i W. Günthera (ten ostatni b. średnia znakomitość). Tymczasem obaj byli od początku, zanim wyszedł „*Museion*”, stałymi współpracownikami „Miesięcznika” Retingera i dopiero kiedy Feliks Jasieński (Mangha) w swoich świetnych sałatach gawędziarskich napisał do „Miesięcznika“ mocno nieprzyjemnie o St. Tarnowskim, obaj pod naciskiem Tarnowskiego a za poradą przyjacielską samego Retingera, gdyż się wahali, przeszli do „*Museionu*”. Ale Morstin potrafił zażyrować się takimi frazesami, kokietując demokrację: „W Krakowie wszelki brak kultury u pisarzy, wszelką atawistyczną samowolę szlachecką w metodach pisarskich, tępił „*Museion*“ nielitościwie i z całą bezwzględnością“ — i lepiej jeszcze: „Byliśmy trochę dziedzicznie (?) obciążeni nieufnością do tych hrabiów (*sic!*), co zajmują się literaturą, oczywiście tylko w nielicznych wypadkach“ (!!!). Mówi to przy okazji K. H. Rostworowskiego, a oto co mówi o nim:

„*Museion*” odkrył jeden talent, ale niepospolity: K. H. Rostworowskiego. Odkrył go w tem znaczeniu, że pierwszy zaczął o niego walczyć”. — Oto, co świadczy Retinger z powodu tego wynurzenia: „Morstin w obecności mojej odmówił Rostworowskiemu drukowania jego „*Via Crucis*” i wtedy pierwszy zaczął drukować Rostworowskiego, przyjąwszy „*Via Crucis*”, mój „Miesięcznik””.

A propos wynurzeń Morstina o kontakcie z Paryżem, w których w zapale potrafi jako współpracowników „*Museion*'u” jednym tchem wymówić przez wszystkich znienawidzonego, kawiarnianego wścibskiego żyda Adolfa Baslera, obok Bourdelle'a — mówi Retinger: „Morstin wyciąga swe przekłady Moreasa przez Kościelskiego, Miłaszewskiego i Ostrowską; „Miesięcznik” dawał przekłady Moreasa Ligockiego. Całe przedstawienie nawiązania jakoby „*Museion*'u“ z prądami nowych kierunków artystów francuskich jest wielką blagą. Jeśli zaś chodzi o korespondentów, to oto jakich miał „Miesięcznik”: Korespondentem o literaturze był .. André Gide, o sztuce... Valloton, o muzyce... Calvocoressi”. Biedny „*Museion*”! On jeden w Krakowie męczył się nad apostolstwem kultury! Morstin chwali się „doskonałemi reprodukcjami“ „*Museion*'u“. Należy położyć tylko numer „*Museion*'u” przy numerze „Lamusa”, najlepsze jego reprodukcje przy samej okładce któregokolwiek zeszytu „Lamusa” i stwierdzić czy się pod tym względem jedno obok drugiego da wymówić. Ale o ile tak „*Museion*”, jak „Miesięcznik” drukowali na gorszym od „Lamusa” papierze, to jednak warto wspomnieć, że Retinger postarał się o specjalne winiety Wyczółkowskiego, Sichulskiego i Pankiewicza, więc znowu „*Museion*” nie był nawet w Krakowie *hors concours*.

Morstin powołuje się na zdanie Bourdelle'a, że „*Museion*” był „najpiękniejszem, najwytworniejszem pismem na świecie”. Najpierw kurtuazja francuska sięga bardzo daleko, (i nieraz wygląda jak podpisy aktorek na ogłoszeniach firm perfumeryjnych, że tylko ta, najlepsza etc.) powtóre zamiast się powoływać na kogokolwiek, wystarczy mądrej głowie powiedzieć: idź do Bibljoteki Uniwersyteckiej i każ sobie pokazać ten sławny „*Museion*”, ale nie oglądaj przypadkiem równocześnie „Lamusa“, a po trzecie trzebaby najpierw udowodnić, co naprawdę powiedział Bourdelle, jeżeli się już tyle blag popuszczało. Jednym z takich chwytów (jak w tytule artykułu) jest zdanie następujące: „I także, jak zwrócił na to uwagę August Rodin („*Museion*” II — XI)...” zdanie, tak sprytnie sformułowane, jakby Rodin pisywał także do „*Museion*'u”.

Klasyczne obrazy protzowstwa, to opowiadanie Morstina jak dla jednej kliszy z obrazu Ingresa, posyłał do Paryża młodego malarza, dał mu na drogę tam i z powrotem etc. (Obraz mentalności redaktora — ale w nieco ważniejszej sprawie „Lamus” umiał wydobyć homograf nieznanego pierwszej wagi historycznej, listu Kopernika z bibljoteki w Sztokholmie), albo „1000 fr. zaliczki za jeden wiersz dostała jakaś (Boże mój „jakaś”) poetka... albo Boy, który patrzy na autora, jak na warjata, kiedy ten przed nim cały stół „zawala srebrem” (*ausgerechnet* srebrem). Czy aby Boy patrzał tylko jak na „warjata”? Ostatecznie skończyło się, że „*Museion*” dla tych protzowskich kawałów, (które zresztą płacił, jak powszechnie mówiono, nie tyle lichwiarz, „poważny patrjarcha ziemi proszowskiej”, u którego jakoby zadłużał się Morstin, — tylko Kościelski, „*Museion*” musiał, z powodu długów przestać wychodzić. Redakcja się tem chwali.

„*Museion*“ jedyny u nas stworzył estetykę poezji“ — (bagatela!) Naturalnie wobec takiego poziomu, wobec którego „Lamusa“ nie było, „Miesięcznika Literackiego“ również, z którym także, „Chimera“ nie może iść w porównanie ani treścią ani formą... wobec tego zrozumiałe jest też zdanie następujące: „Nieszczęśliwy dramat Reymonta, rzecz błaha i poroniona, niegodna t a k i e g o pisma jak „*Museion*””.

Mentalność Morstina charakteryzuje najlepiej klasyczny ustęp następujący. „Drugi nasz współpracownik do którego skierowałbym tę samą prośbę, gdyby mnie nie o n i e ś m i e l i ł wysoki urząd... (To jedno go onieśmielał!). Jest reprezentantem Rzpl. w jednej ze stolic europejskich. Władysław Güther... Reprezentował jakiś czas „*Museion*” w Paryżu, dziś reprezentuje Rzeczpospolitą! Nie wiem czy pamięta, jak chodziliśmy po Paryżu i mówili, że trzeba zacząć akcję nad utworzeniem polskiej Akademji Literatury. Sniły nam się f r a k i z i e l o n e. On ma teraz f r a k, choć nie zielony, ale t a k ż e przedziwnie z ł o t e m h a f t o w a n y”...

Przy tej okazji wartoby, aby typ redaktora i literata oświetlić, poświęcić bliższą uwagę sprawie, której M. Pawlikowski nigdy nie poruszał, bo go to mało interesowało. Oto w „Lamusie” ukazał się był przekład Iliady M. Pawlikowskiego gwarą góralską, pisany formą dotąd w literaturze niepraktykowaną, bo oktawą trzynastozgłoskową. Pół roku czy rok później ukazała się w „*Museion*'ie” epopeja L. H. Morstina, pisana oktawą trzynastozgłoskową. Takie skorzystanie z cudzego dobrego wynalazku nie może być brane za złe nikomu, jeśli tylko stworzy coś lepszego, i pozatem całkiem własnego. Warto jednak porównać obie rzeczy i stwierdzić jak nietylko wpływ gwary przesiąka do tamtego elaboratu, ale obraz jakiej indywidualności wychodzi z tego zestawienia. Jeżeli się zaś tak z kogoś korzysta, to wypadało w takim artykule bodaj sobie przypomnieć.

R. P.

NA WIDOWNI

Od Inteligencji—do Elity. — Dyskusja w „Gazecie Warszawskiej". — Dawne pojęcie „Inteligencji" i jego sedno.— Z dziejów myśli o narodzie. — Rola zaboru rosyjskiego.— Chleb i ojczyzna. — Nowe czasy i kryzys. — Na przecięciu dwu linij. — Budowa organiczna i barak.

WSPOMINAŁEM niedawno w tem miejscu, że „Gazeta Warszawska" wszczęła dyskusję o położeniu polskiej „inteligencji" i o jej przyszłości. Zagaił debaty bardzo szczęśliwie Roman Dmowski, wiążąc tę sprawę z ogólnem przesileniem stosunków na świecie. Dla ludzi z wyższem wykształceniem zabrakło w Polsce chleba. Dosłownie chleba, nie tylko masła. Panuje przeludnienie w zawodach wolnych, przyczem z niesłychanym dawniej pośpiechem wypierają stąd Polaków—żydzi. Co ma z sobą robić Polak po ukończeniu szkoły wyższej, nie mający innego majątku poza swem zawodowem wykształceniem? Rozwinęła się dyskusja bardzo interesująca.

Zanim przejdę do jej wyników, zatrzymam się chwilę nad samym wyrazem „inteligencja": co pod nim rozumieć? Ma on swoją historję, i to dość lokalną, bo związaną z dziejami zaboru rosyjskiego w XIX w. Jak słusznie zauważono w dyskusji, grupy społecznej „inteligencji" nie zna Zachód europejski, nie spotykaliśmy też takiej nazwy w zaborach pruskim i austrjackim. W pierwszym z tych zaborów istniało mieszczaństwo, które w siebie wchłaniało ludzi oświeconych, w drugim — biurokracja, szkolnictwo. W Kongresówce rodziny ziemiańskie odrzucały do miast pewną część młodego pokolenia, która na ziemi już nie miała co robić, a kształcona w uniwersytetach, czekała potem na powołanie do wyższych kondygnacyj służby społecznej. Na lud nie była przyszła jeszcze kolej. Szlachty na Mazowszu było dużo, jak ludu, młodzież wymagania miała znaczne i wolała raczej biedę w miastach, niż poszukiwanie zajęć nie uchodzących za inteligentne. Nie było przytem konieczności. Nadmiar ludzi wykształconych fachowo mógł z łatwością znaleźć zajęcie na otwartych a bezgranicznych obszarach Rosji. W kraju zresztą rozwijał się przemysł i wiele sił pochłaniał. Nikt nie tęsknił do posad biurowych, zajętych wyłącznie przez Rosjan. Fakt, że zamknięte były bramy biurokracji, odegrał wielką rolę w kształtowaniu się typu tej grupy, którą nazywaliśmy „inteligencją". Nie można było liczyć na automatyczne „posady", trzeba było istotnie mieć wykształcenie i jakąś inteligencję osobistą, aby zdobyć dla siebie miejsce i robić karjerę, zwłaszcza w kraju, karjera bowiem w Rosji była dość łatwa. Wartości intelektualne były tedy w respekcie. Nie było zbytniego tłoku w zawodach, im kto rozleglejszą miał *capacitatem*, tem łatwiej dawał sobie radę.

Był jednak jeszcze inny czynnik socjologicznej natury — poza tamtym materjalnym, mianowicie ideowy, i ten dał barwę charakterystyczną pojęciu „inteligencji" jako grupy społecznej.

Duch dziejów politycznych przebył tragedję rozbiorów Polski w Warszawie, w tym też zaborze działy się dramaty powstań, odkarmiające tradycję tego ducha. Ludzie oświeceni czuli się tutaj zawsze jego dziedzicami, umysł ich nigdy nie był całkowicie wolny od myślenia o całości polskiej. To był rys najbardziej zasadniczy „inteligencji" zaboru wschodniego — miała ona polot myśli o zasięgu wszechpolskim, czego nie można powiedzieć o fachowcach oświeconych innych dzielnic. Otóż śmiem utrzymywać, że istotą pojęcia „inteligencji" był ten moment ideowej natury. Za „inteligencję" uważaliśmy nie ogół ludzi ze średniem czy wyższem wykształceniem, lecz grupę ludzi niezależnych, zdolnych do obejmowania myślą i sercem całości spraw polskich, ludzi zdolnych do życia ideowego i służenia sprawom cywilizacji narodowej (przedewszystkiem politycznej).

Przypomnę, jak dziecko polskie w tym zaborze wyobrażało sobie karjerę swoją: „Skończę gimnazjum, potem pójdę do uniwersytetu, potem do cytadeli...". A jakiż był tryb myślenia przy wyborze zawodu? „Pójdę — mówił młodzieniec — na studja takie, dlatego że na tej drodze będę mógł najlepiej działać na polu narodowem czy społecznem".

Myśmy przecież po skończeniu prawa, nawet przyrody, nawet medycyny — szli do dziennikarstwa, publicystyki, pracy oświatowej. Ani nam w głowie było zajmowanie się fachem. Temu pędowi służenia sprawie ogólnej, sprawie ducha narodowego zawdzięczamy wielki rozkwit literatury w tym zaborze. „Inteligencja" polska rodziła się w filaretyzmie wileńskim, chrzest brała w celi Konrada; aby tę grupę społeczną powiększyć, porywały się duszyczki z ławy szkolnej w Humaniu, tak też rozumiano obowiązek w r. 1830. Cóż to była emigracja? *Exodus* „inteligencji". Czemże cyganerja późniejsza w Warszawie? Odrywaniem się od rzeczywistości na rzecz jakiejś ogólniejszej służby duchowi narodu, który musi być—pomimo wszystko — suwerenem idealnym dziejów polskich. Odrywały się od tła życiowego duchy, ginęły w obłokach poezji i filozofji. Ludzie marnieli, ale żył duch narodu.

Z tych — powiadam — tradycyj urobiło się to, co w pojęcie „inteligencji" społecznej osadziliśmy jako jej istotę, ów płomień, który — jakby powiedział Norwid — zamknęliśmy w urnę alabastrową zjawiska, iż ma ono w sobie coś ponadspołecznego w szczególnym uroku swego światła.

Zadaniem szczytowem czasów rozebrania państwa było wytworzenie nad narodem rządu dusz. Inteligencja była owym wytworzonem intuicyjnie przez społeczeństwo ciałem, które zpośród wszystkich grup miało największe prawo kierowania losami narodu. Była to właściwie e l i t a, o której się teraz mówi, ale elita nie z nominacji i nie z przypadkowych zdarzeń, lecz z pracy ducha. Wyższe wykształcenie nie było istotnym warunkiem należenia do tej grupy. Zdobili ją np. wybitni pisarze, którzy dość często nie mieli wykształcenia wyższego. Nie liczyło się do inteligencji wszelkich „speców", obojętnych na sprawy ogólno-narodowe. „Inteligencja" była strażą, która ducha narodowego nieciła z iskier w popiele i doniosła w rękach jego ogień do Polski państwowo odrodzonej.

Odkąd, zabezpieczony, zapłonął ten ogień na ołtarzu swojem światłem oficjalnem, czyż mu niepotrzebny kontakt z duszą narodu? Potrzebny. I dla tego mówi się o elicie... Ale zmieniają się sceny widzenia: sprawa inteligencji, jako grupy ludzi, mających żyć zawodowo ze swego intellektu, staje się pierwszorzędną kwestją społeczną. Zwiększyła się produkcja ludzi z wyższem wykształceniem, a zmniejszył się ich eksport do państw zaborczych, a — co ważniejsza — nie podniosła się

wytwórczość materjalna w kraju w tym stopniu, aby mogła przyrost sił inteligentnych zatrudnić.

Kłopot z inteligencją już przed wojną się zaczął w zaborze rosyjskim, mianowicie od czasu, kiedy wskutek podniesionej stopy życia ideowego, przestały uchodzić za rzecz moralnie godziwą wyjazdy zarobkowe do Rosji. Odtąd prędko rozrastało się koło inteligencji, ideowo nastrojonej, ale stawało się ludziom ciasno w sensie zarobkowym. Był to współobjaw nowego ruchu wśród inteligencji w kierunku działalności narodowej. Padały wtedy hasła, wzywające ludzi oświeconych na wieś i do miasteczek. W przyrodzie życia doskonale harmonizują się postulaty chleba i ducha; ówczesny ruch prowincjonalny z czasów „Głosu" i później był jednocześnie i praktyczny osobiście i zarazem ideowy. To samo może być teraz.

Czasy idą ku temu, że kontrast między ideowością (raczej pięknoduchowością) a praktycznością, między pracą umysłową a techniczną, nawet fizyczną, będzie malał; kultura pracy sharmonizuje człowieka na typ jednolity. Minęły czasy, kiedy człowiek „edukowany" szczycił się tem, że nie wie, co się koło niego dzieje i z czego chleb się robi.

Od rządzenia wyłącznie duszami „inteligencja" w warunkach normalnych bytu narodowego przenosić musi myśl na rządzenie ogółem spraw, nie cofając się w czasach kryzysu gospodarczego od prac najbardziej detalicznych i prostych. Kłopot z inteligencją powstaje nie z tego powodu, że zbyt wielu jest ludzi wykształconych, lecz powstaje wtedy, gdy zbyt wielu jest takich, którzy mają pretensję do renty ze swego wykształcenia ponad stan swej produkcyjności.

Trzeba się zgodzić z prof. Romanem Rybarskim, który o tem pisał w artykule „Najważniejsze zagadnienie" („Myśl Narodowa", nr. 9), że istotnie najważniejszem zagadnieniem w kryzysie polskim jest n i e d o s t a t e k z powodu zbyt małej produkcyjności ludzi. Człowiek oświecony uchroni się od wykolejenia, jeśli będzie przodował w wytwarzaniu. Dodać jednak należy: w wytwarzaniu nietylko dóbr materjalnych, lecz tych wszystkich dóbr, których potrzebuje życie cywilizacji, więc i duchowych. W każdym razie najważniejszem zagadnieniem w Polsce jest kwestja p r a c y. Wydajnej pracy.

To hasło dopiero, gdy jest powszechnie realizowane, daje właściwy sens hierarchji społecznej. Wtedy niema mowy o „inteligencji", jako specjalnej grupie społecznej, lecz nazywa się e l i t ą to, co wybija się na czoło społeczeństwa przez ścisłe połączenie swojej pracy produkcyjnej z m y ś l ą o c a ł o ś c i ż y c i a n a r o d o w e g o. Do elity należy człowiek nie przez to, że się wykazał wykształceniem, lub specjalną pięknoduchowością, lecz który się wykazał, że coś potrafi stworzyć i umie jednocześnie r a d z i ć o sprawach całości i przejmować się niemi.

Nic z tego, co było dodatniego w dziejach narodu, nie powinno ginąć bez śladu, bo to są realne wątki przędzy naszego dziedzicznego warsztatu. Najwyższe wzloty naszego idealizmu i przemyślenia naszego realizmu, wszystko to, co przerabialiśmy doświadczalnie w dziejach, a ze świadomością filozoficzną naszych poetów i myślicieli w wieku XIX — musi się odnaleść u potomków, powoływane do życia hasłami czasu. Idea „inteligencji", tej ofiarnej, marzącej o uszczęśliwieniu narodu, idea doskonałości pozytywizmu, ofiarność tych w ostatniem pokoleniu, którzy umieli stworzyć z tamtych pierwiastków syntezę do walki o zjednoczenie i wolność polityczną, — wszystko to w młodem pokoleniu musi być przytomne w zastosowaniu do p r a c y.

Elitę narodu stanowią żywe punkty moralne w społeczeństwie, w których przecina się linja osobistego powołania jednostki z linją powołania do obowiązku narodowego — do troski o dobro publiczne.

Nie zbawi bowiem społeczeństwa sama „inteligencja", jako grupa odrębna, przeciwnie może stać się ciężarem, zbytnio obciążającym budowę społeczeństwa. Musi ona wessać się w organizm — we wszystkie jego prace realne. Jednak inteligent nie będzie należał do elity, jeśli będzie tylko c z e m ś w społeczeństwie; musi być k i m ś. Musi być tym punktem moralnym, o którym wyżej. Wtedy tylko budowa nasza się ostoi, jako całość organiczna. Bez wiązań wewnętrznych, biorąc byle kołek za elitę, można zbijać tylko tymczasowe baraki.

Miałem zamiar zająć uwagę czytelników wynikami dotychczasowej dyskusji na temat inteligencji. Wplątałem się jednak sam w dyskusję i miejsca już nie starczy. Wyrazić tylko mogę życzenie, aby ze sfer inteligencji więcej osób w dyskusji tej wzięło udział, na co im chętnie udzieli miejsca „Myśl Narodowa".

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O NALEWANIU I NABIJANIU W BUTELKĘ. Nadesłano nam, jako dokument, kartę reklamową do rozwieszania na ścianach: na jednej połówce tekst polski, na drugiej żydowski. Ogłasza się tak dwujęzycznie jedna z największych w Warszawie fabryk (Sp. Akc.), dotychczas będąca w ręku polskim. W tekście zawarte jest zaświadczenie rabina Ajbeszyca, jako że owa fabryka:

„wyrabia na święta paschowe wodę sodową, kwasy, lemonjady, oranżady i t. p. z owoców, tłoczonych stosownie do wymagań rytualnych. Przyczem rozlewa się wspomniane napoje do butelek nowych w obecności dozorcy z naszego upoważnienia tak, że wszyscy żydzi ortodoksyjni mogą bez żadnej obawy polegać na nim".

Nic podobnego nie widywaliśmy dawniej nawet w Galicji. Chciałoby się napiętnować fabrykę, ale tu odrzec może:

— Czemuż ja mam przodować w ambicjach niepodległości i składać dowody dumy narodowej, gdy nie widzę u góry ani jednego aktu, któryby się dokonywał bez „dozorcy" z ramienia żydostwa. A czyż w redakcjach sanacyjnych woda leje się bez dozoru żydowskiego, czy bez tegoż dozoru nabija się opinję w butelkę, czy w księgarniach bez dozoru żydowskiego wyjdzie książka? Czy może w dyplomacji niema dozorców żydów? A czy żydówki, z którem żenią się ludzie na stanowiskach, to nie dozorczynie?

— A dla czego ogłoszenie w dwu językach?

— Bo żydzi są dumni, bo nie chcą czytać po polsku. Wolą upokorzyć Polaków, którzy, wprowadziwszy do szkół obowiązek nauczenia się języka polskiego, tolerują dwujęzyczność, a żydów (nie umiejących jakoby czytać po polsku) puszczają do

uniwersytetów, aby potem uczyli Polaków literatury polskiej i historji, tworzyli poezję polską.

My im będziemy conajwyżej robić wodę sodową, oni nam cywilizację, ale bez naszego dozoru. Nasi dozorcy są zajęci walką z uroszczeniami ducha narodowego do niepodległości. Mamy już Judeo-Polskę.

W POLSCE JESZCZE NIE WSZYSCY WIEDZĄ, o co chodzi młodzieży polskiej, domagającej się w szkołach *numerus clausus*. W Polsce, gdzie już w zawodach wolnych miewamy większość żydowską. Niechże tym judofilom dadzą do myślenia fakty, o których wieści dochodzą nietylko z Niemiec i z Rumunji, czy z Włoch. Oto w Paryżu 8 b. m. w *Quartier Latin* wybuchły walki uliczne pomiędzy studentami i żydami. „*Action Franc.*“ pisze: „W niedzielę przy pięknej słonecznej pogodzie wiosennej w biały dzień w śródmieściu Paryża uciążliwi żydzi z Niemiec oraz innych środowisk mogli bezkarnie napaść na rodowitych Francuzów. To już troszeczkę za wiele!“ Rannych okazało się 30 osób.

Albo taki fakt. Lublana, spokojna i cicha stolica sympatycznych Słoweńców została w ostatnich czasach do żywego poruszona kwestją... żydowską. Była to niespodzianka, bo w całej Lublanie jest tylko coś około 2—3 rodziny żydowskie. Niestety, ostatniemi czasy zjechało z Polski coś ze 100 żydów, którzy zapisali się na wydział medycyny (Polaków jest tylko 8). Wszyscy ci żydzi podawali się oczywiście za rodowitych Polaków. Ostatnio jednak to się—na szczęście—zmieniło. Powód był następujący:

Jeszcze w grudniu ub. r. aresztowano nagle kilku tych „Polaków” mojżeszowego wyznania—za szerzenie komunizmu. Jakiś czas było spokojnie. Aż tu nagle pewnego dnia u wszystkich studentów z Polski przeprowadzono rewizje nocne, w czasie których poprzewracano wszystko do góry nogami, poczem wszystkich odprowadzono do komisarjatu, gdzie rozpoczęto śledztwo, które trwało przez cały dzień. Po kilku godzinach Polaków wypuszczono, a żydów prawie wszystkich osadzono w więzieniu. Po kilku dniach wszyscy żydzi otrzymali zawiadomienie, że zostaną wydaleni z granic Jugosławji i to „szupasem” jako „uciążliwi obcokrajowcy“, przyczem każdy z nich otrzymał do podpisania deklarację, że już nigdy do Jugosławji nie wróci.

Nareszcie zaczęto przypatrywać się żydom i odróżniać od słowian... Wielki to postęp.

NAUKA I LITERATURA

O LITERATURZE LWOWSKIEJ SŁÓW KILKA

(List ze Lwowa)

ŹLE się zaczyna dziać od dłuższego czasu w królewskim grodzie Lwowie. Zwłaszcza w literaturze. Wspaniała ciągłość tradycji Lwowa w twórczości literackiej, znacząca się nazwiskami Fredry, Ujejskiego, Konopnickiej, Zapolskiej i Kasprowicza urwała się przed 10 czy 15 laty i nie może znaleść dziś godnej reprezentacji. Część starej wiary opuściła Lwów (Makuszyński, Wasylewski), pozostali milczą. Milczy Jedlicz, Obertyńska, Barącz, Kozicki... Natomiast jesteśmy świadkami, jak różne samozwańcze talenty ni stąd ni zowąd, nie zważając na wiszący u wejścia do sanktuarjum Sztuki zakaz wpuszczania profanów, pchają się i tłoczą, zasugerowani własnemi kłamstwami o swem apostolstwie i misji w literaturze. Zamiast długich święceń pisarzy z bożej łaski, bożych pomazańców — inwazja domokrążców literatury wszelkiego typu i pokroju. W teatrze, miejsce dawnych dobrych dramaturgów (Kozickiego, Brończyka, Rybickiego), zajęły grane przez kilka miesięcy faktomontaże sensacyjne i karmelkowe wodewile.

Pisze się dużo, bo to świadczy o żywotności i rozwoju talentu. Pisze się po boyowsku i pikantnie, bo taki jest duch czasu i imperatyw epoki, no i Warszawy i „Wiadomości Literackich“, superarbitrów polskiej literatury. Reklama jest precyzyjna, bo wyzyskująca wszelkie zdobycze techniki i pomysłowości. A więc wywiady, portrety, wystawy. Sympatyczne skądinąd „Lwowskie Wiadomości muzyczne i literackie“ stają się niesympatyczne i nieznośne, odkąd zaczęły transzę sylwetek pisarzy lwowskich, zamieszczanych bez wyboru i krytycyzmu. Widnieją tylko młodzi, zato twórczy, zdolni, nowocześni. Poprostu towarzystwo wzajemnej adoracji i ubóstwiania się (nie od ubóstwo lecz bóstwo). Weźmy choćby ostatni numer „Wiadomości“ za marzec, zawierający sylwetkę lwowskiej literatki, Anny Kowalskiej. Obok portretu z uduchowionemi rysami typu laponoidalnego widnieje autobiografja właścicielki fotografji t. j. p. Kowalskiej. Nie wchodząc bliżej w ocenę formy autobiografji owej, przypominającej pamiętnik ciotki — starej panny o fikcyjnych przeżyciach, i utrzymanej w stylu epoki biedermajerowskiej, muszę zaznaczyć, że treść jej jest sympatyczna dla pewnej grupy pisarzy lwowskich, kręcących się koło świątyni Apollina. Oto autorka, odmalowawszy sielskie dzieciństwo swoje w ogródkach przez wszystkich podlewanych, uderza w ton megalomanji i pisze: „Od dziesiątego roku życia zajmowałam się sprawami religji: ascezą, mistyką, a potem historją religji... Prawie cały czas spędzony w szkole uważam za stracony“.

Doprawdy unikat megalomanji i zakłamania. naukowe zainteresowania religjologiczne w 10-tym roku życia i całkowita negacja celowości wychowania. Możliwe, że p. Kowalska nic nie wyniosła ze szkoły, skoro szkoła istnieje dla takich, co chcą się uczyć. Po chełpliwem wyliczaniu tomów dzieł następuje najkapitalniejszy *passus* całej autobiografji: „W ostatnich czasach zajęło mię pytanie, dla kogo właściwie Polska istnieje, kto z tego i co ma i ile. Często zbliżałam się i mam zamiar wrócić kiedyś do zagadnienia tęsknot metafizycznych w życiu człowieka“.

Jest to szczyt pozerstwa i pyszałkostwa. Lwowska pisarka, debiutująca jeszcze, myśli rozwiązywać problematy historjozoficzne, socjozoficzne i metafizyczne. Śmieszne i budzące niesmak. Czy ma to być nowe wydanie Hoene-Wrońskiego czy Spenglera? Niewiadomo. Jedno jest pewne i uchwytne: pretensjonalny i pełen natrętnej megalomanji i tupetu ton pisarki, zaliczającej się do ekstraklasy piór Lwowa. Wielcy nasi pisarze byli skromni i nie urabiali swej sławy fotografjami i autobiografjami, nasyłanemi redakcjom. Oni pracowali nad sobą i nad dziełem swem, a sława i dobre imię same do nich przychodziły. Wspomnę tu choćby Prusa, Weyssenhoffa, Berenta, którzy są ślicznemi wzorami solidnej, klasycznej, rozumnej pracy pisarskiej, ocenionej i uznanej przez społeczeństwo bez żadnej reklamy. Ale ludzie snobistyczni i małoduszni nic o tem nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć: piszą byle o czem i byle jak, reklamując się zato w sposób arcymistrzowski. Ubierają się — choć im z tem nie do twarzy — w wieńce i szaty wieszczów i kapłanów literatury, udają, pozują, okłamują siebie i społeczeństwo.

P. Kowalska w najsłabszej rzeczy, jaką kiedykolwiek czytałem w „Wiadomościach muzycznych i literackich“, wywyższa swe życie do roli misji dziejowej. Rozwiązuje problematy metafizyczne i historjozoficzne swym dyletantyzmem i pozerstwem. Mówi o swym smaku subtelnym. Możliwe, że p. Kowalska ma smak jak Petronjusz, w każdym razie jak Petro. Petro z Batiatycz. Jeśli p. Kowalska myśli, że robi

niesłychany honor literaturze ojczystej, to jest w błędzie. Dobrze zrobi, jeśli przestanie pisać, a raczej wydawać.

Lepiej poprostu przestać pisać wogóle: i osobno, bo słabo wychodzi, i w spółce z mężem, bo nie wiemy, co p. Kowalskiej, a co jej męża.

Co do tej spółki z nieograniczoną nieodpowiedzialnością, to mam małe podejrzenie, czy znowu autoreklama nie zrobiła swego. Na łamach „Wiadomości Literackich“ ukazują się recenzje Czapskiej, *notabene* dobrej znajomej pp. Kowalskich, piejące bezkrytyczne dytyramby na cześć polskiej pary literackiej.

Miłość, seksualizm, amoralizm, pornografja posunięta aż do ekshibicjonizmu — oto tematyka i że tak powiem długość psychologicznej średnicy twórczości p. Kowalskich.

Jest to sprzeczne nietylko z etyką chrześcijańską, ale i godnością profesora poważnego uniwersytetu, no i świeżo upieczonego senatora (źródłosłów sanacja). Styl pp. Kowalskich przerafinowany symboliką, metaforą i porównaniami z epoki baroku i Morstina, jest sztuczny i nużący.

Biedny Lwów, nieszczęśliwy Lwów. Po orłach, wzbijających się w przestworza myśli narodowej i ogólno-ludzkiej— falanga samozwańczych talentów.

JEDEN Z NORDYKÓW

ZE ŚWIATA LITERATURY I SZTUKI

Nagrodę Związku autorów dramatycznych im. Leona Reynala przyznano w tym roku Adamowi Grzymale Siedleckiemu za komedję „Czwarty do brydża“. Sąd konkursowy, pod przewodnictwem Wacława Grubińskiego, odznaczył tę sztuke z pośród 19 sztuk polskich, wystawionych w ciągu ostatniego roku.

*

D. 8 b. m. odbyło się w Łowiczu poświęcenie tablicy pamiątkowej ku czci znakomitego malarza Józefa Chełmońskiego, urodzonego w miejscowości Boczki, kilka kilometrów od Łowicza. Przemawiali:, komisarz miasta inż. Czarnowski, przedstawiciel ministerjum oświaty, radca Sienkiewicz, rektor Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie Pruszkowski, oraz Wojciech Kossak.

Złożono wiele wieńców, między innemi złożył laurowy wieniec prezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, dalej wieńce niosły liczne delegacje z Łowicza i Ziemi Łowickiej, w szczególności grupy w strojach ludowych. Tablica pamiątkowa wmurowana jest w ścianę miejscowego gimnazjum, do którego zmarły w swoim czasie uczęszczał. Po odsłonięciu dokonano otwarcia wystawy pamiątek po Chełmońskim. Jest tam pewna część dorobku artystycznego mistrza, dyplomy i nagrody honorowe, a także rysunki z czasów gdy uczęszczał do szkoły.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Rozprawa Macieja Szukiewicza „W sprawie nauczania języka macierzystego i jego pragmatyki“, wydana w Krakowie nakładem księgarza Fryderyka Eberta i z przedmową tegoż p. Eberta, wielce bałamutna, przypomina staropolskie przysłowie „Gdzie Rzym, gdzie Krym“. Wedle zdania przedmówcy, Szukiewicz poeta i „jedyny na terenie Krakowa przedstawiciel Młodej Polski“, może być rzeczoznawcą w sprawach językowych i reformatorem polonistyki z tej racji, że „nierzadko stojący na brzegu widzi lepiej, co nurt niesie, niż ten co z nurtem płynie“. Motywem do podjęcia wojny przeciw gramatykarzom był, jak Szukiewicz wyznaje, artykuł w K. C. w dn. 30.I.1931 r. zatytułowany: „Gdy podmiot doświadcza skutków tej czynności“, czyli od głodu, ognia, wojny i gramatyki Szobera zachowaj nas, Panie“. Bez kwestji, poeta ma prawo i obowiązek przestrzegania prawidłowości pisowni, nie tylko w płodach swego ducha, ale gdziekolwiek się nadarzy. Cóż jednak z tego, jeśli autor rozprawy, za czasów Młodej Polski autor raczej mętnych niż poetycznych dramatów, miesza gramatykę ze stylistyką, filozofją, etnografją i niewiadomo z czem. Podrwiwa, nie bez talentu dialektycznego, z gramatyk, przygania stylowi Norwida, Nowaczyńskiego i Berenta. Wszystko w celu zwalczania metod nauczania i zastąpienia ich przez tajemnicze nakazy życia, instynktu, dziedziczności, intuicji i miłości. Finał tych wywodów à la Rozbicki czy Filip z Konopi zamyka, ni stąd ni zowąd, pochwałą „wychowania państwowego“. Przedmowa broszury podaje adres autora, aby czytelnikom dać możność wymiany zdań. A więc, kto się chce zabawić, niech próbuje.

A. W.

TEATR

„ZBRODNIA I KARA“

„ZBRODNIA i KARA“ Teodora Dostojewskiego przerobiona została na widowisko sceniczne bardzo dawno temu. Już w roku 1888 grano ją w paryskim „Odeonie“ w opracowaniu Hugues'a Leroux'a i Paul'a Ginisty'ego.

Franciszek Sarcey, największa podówczas wyrocznia europejska w sprawach teatralnych, wyraził się po przedstawieniu:

— Jest to sztuka źle zbudowana.

Patrzył on na utwór Dostojewskiego jak na dramat detektywny. Filmów detektywnych podówczas jeszcze nie znano, ale romanse kryminalne i osnute na nich widowiska sceniczne weszły już w modę. Dla Sarcey'a „Zbrodnia i kara“ grzeszyła brakiem logiki teatralnej.

Aczkolwiek arcydzieło genjalnego Rosjanina było już we Francji głośne i popularne (dzięki przekładowi de Vogue) wielu francuzów, zobaczywszy je na scenie nie mogło zrozumieć, dlaczego Raskolnikow spowiada się nie przed sędzią śledczym, który go wytropił i osaczył, lecz przed Sonią — figurą w widowisku scenicznem — epizodyczną.

Trzeba było dopiero obszernego komentarza Juljusza Lemaître'a, żeby nieporozumienie wyjaśnić. Wyjaśnić częściowo. Tylko bowiem przeczytanie powieści Dostojewskiego wyjaśnia ją całkowicie.

Przeróbka sceniczna, nainteligentniej nawet dokonana nie jest w stanie odzwierciadlić całej głębi psychologicznej i wszystkich wzlotów filozoficznych, jakie znajdujemy w książce.

W wersji scenicznej najgłębsze właśnie i najwartościowsze momenty wypadają blado i słabo.

Pan Leon Schiller, inscenizując „Zbrodnię i karę“ w teatrze Polskim, potrafił stworzyć widowisko bardzo interesujące i ze wszech miar godne zobaczenia. A jednak... A jednak nie zdołał (bo nie mógł), zadowolić nas w tym samym stopniu, w jakim nas zadowala poprostu lektura powieści.

Aż do pierwszego antraktu (pomimo znakomicie odegranej przez Junoszę Stępowskiego sceny wynurzeń pijackich Marmeładowa) widzowie, którzy „Zbrodni i kary“ w książce nie przeczytali, byli najmocniej przekonani iż jedynym motywem, który popchnął Roskolnikowa do zabicia starej lichwiarki—była chęć zdobycia paru rubli na wódkę. O tem, że Roskolnikow nie jest pospolitym opryszkiem, lecz pomylonym wprawdzie ale wysoce inteligentnym, uchodzącym wśród przyjaciół za genjalnego niemal człowieka — ideologiem, widzowie zaczęli się ze zdziwieniem dowiadywać dopiero w drugiej części widowiska (podzielonego przez inscenizatora na trzy wieloodsłonowe akty).

W pierwszej części przedstawienie było nie tyle tragedją, ile uinscenizowanym filmem detektywnym, czy też sensacyjnym udramatyzowanym reportażem, w rodzaju tych „faktomontaży“ — jakich się nam zwykle czytać nie chce, gdy je spotykamy na łamach krakowskiego „Illustrowanego Kurjera“, warszawskich „Czerwoniaków“, czy też zgoła „Wiadomości Literackich“.

Dopiero rozmowa Raskolnikowa z sędzią śledczym unaoczniła publiczności fakt, że ma do czynienia nietylko z problematem detektywnym, lecz również z tragicznemi, głęboko wzruszającemi, bardzo skomplikowanemi dziejami ludzkich dusz.

W drugim i trzecim akcie pokazano nam szereg scen teatralnie znakomitych i o głębi utworu Dostojewskiego pewne pojęcie dających. Wszystkie rozmowy Roskolnikowa z Porfirym Piotrowiczem i djalogi z Sonią wypadły bardzo dobrze. W sumie zalety widowiska wydają się nam nieco liczniejsze od jego braków i niedociągnięć.

Do zalet tych przedewszystkiem musimy zaliczyć wyborną grę aktorów — przedewszystkiem Aleksandra Zelwerowicza (sędzia śledczy), Junoszy Stępowskiego (Marmeładow), Solskiej (Katarzyna Iwanówna).

Wykonawca głównej postaci, Raskolnikowa — p. Damięcki włożył w wykonanie swojej trudnej roli cały swój bardzo obiecujący talent i *maximum* chwalebnego wysiłku. Gra jego bardzo przypomina grę Karola Adwentowicza; Adwentowicza młodego, z najlepszej epoki.

S.

KRYZYS TEATRALNY

NAGŁE ustąpienie dyrektora Krzywoszewskiego na wieść, że w przyszłym sezonie byłe teatry miejskie oddane być mają „Towarzystwu Krzewienia Sztuki Teatralnej" wywołało sensację. Nie wchodząc w szczegóły, zatrącające skandalem, zdziwieni jesteśmy przedewszystkiem kruchością podstaw, na których miasto oparło byt Teatru Narodowego oraz dwuch innych mniejszych scen. Teatr Narodowy, o którego samę nazwę, tak obowiązującą (!) stoczać wypadło przed laty dziesięciu uporczywe walki, oddany został jak się okazuje, jednem pociągnięciem pióra—pod władzę absolutną jednostki bez zagwarantowania odpowiedzialności finansowej na wypadek bankructwa. Nie wchodząc w to, czy dyrektor Krzywoszewski nazwiskiem swojem dawał dostateczną gwarancję artystycznego poziomu pierwszej sceny polskiej, musimy stwierdzić, iż powierzenie mu tej instytucji bez kaucji było krokiem niedopuszczalnym. Teraz dopiero wyjaśniają się powody zatajenia przed opinją publiczną tekstu umowy miasta z dyrektorem Krzywoszewskim; taka umowa nawet przy kwitnącym stanie teatrów stanowiłaby dowód lekkomyślności karygodnej, a przy ciężkiem położeniu scen, w dobie kryzysowej, jest poprostu występkiem. W chwili, gdy piszemy te słowa, nie są jeszcze znane w całości długi ciążące na administracji dyrektora Krzywoszewskiego, ani rozmiary jego osobistej odpowiedzialności pieniężnej. Jedno jest niestety pewne: mianowicie, że na okres półroczny pozostaje z subwencji miejskiej zaledwie pięćdziesiąt tysięcy, gdy pierwsza połowa sezonu, uchodząca za lepszą, (karnawał a nie kanikuła) pochłonęła z subwencji tej aż dwieście tysięcy.

Obecny kryzys teatralny sięga swemi przyczynami głęboko w przeszłość. Podłoże jego jest bardzo zawikłane. Aby wyciągnąć słuszne wnioski i przyczynić się do gruntownego uzdrowienia stosunków na przyszłość—przypomnimy niebawem szereg wydarzeń dawno minionych. W podstawach bowiem ustroju scen miejskich i w niepoprawionych dotychczas błędach szeregu dawnych dyrekcyj leżą powody dzisiejszego opłakanego stanu rzeczy.

MUZYKA

FILHARMONJA.—Zapowiedziany jeszcze na jesieni koncert kompozytorski Sergjusza Prokofjewa odbył się dopiero w piątek, 6 kwietnia.

Wykonano symfonję klasyczna *d-dur*, koncert fortepianowy *des-dur* oraz trzecią symfonję.

Zestawienie powyższych utworów było pomysłem szczęśliwym. Ilustrowało nietylko twórczość kompozytora, ale dawało przykład linji ideowej jego sztuki. Bo Prokofjew, wrażliwa, chłonna inteligencja i ogromny temperament, ma swoje koncepcje. Chce, aby twórczość jego była istotnie muzyką i to muzyką współczesną. Niechaj zwrócenie oczu artysty w przeszłość nie wprowadzi nikogo w błąd. Decydującą rolę odegrała tu strona wizualna, to dosłowne zwrócenie oczu. Kolizja z założeniem—tak się jednak tylko wydaje. Muzyka bowiem Prokofjewa daleką jest od programowości; przemawia przez nią artysta wrażliwy na piękno, barwę i charakter tamtego świata, nieledwie już zapomnianej, już starej muzyki włoskiej i dziwnego, ciekawego teatru *dell'arte*.

Prokofjew nie powtarza, Prokofjew nie „wzoruje się". Patrząc w przyszłość maluje ją środkami współczesnemi, formą zupełnie nową. Jest w nim coś z plastyka. Stanowczo jednak odrzućmy ową bezsensowną etykietę „kubisty". Nie wiem, kto pierwszy wyrwał się z tą nazwą — dziwić się doprawdy należy, że się tak szybko rozeszła po świecie. Bo chociaż zgodzę się z tem, że możnaby każdy poszczególny przejaw jego twórczości nazwać tak, czy inaczej — ujęcie to przecież położymy na rachunek tego, który nazywa.

Można je określić mniej lub więcej dosadnie — rzecz to trafności sądu, snobizmu a także i zwykłego ułatwiania sobie sposobu myślenia i pewnego rodzaju systematyzowania wiedzy muzycznej lub przyjmowania wrażeń. Można i dyskutować nad poszczególnemi określeniami, stanowczo natomiast należy odrzucić jakąś jedną etykietę, ów bezsensowny „kubizm", upieranie się bowiem przy nim będzie dowodem, że się zupełnie artysty nie rozumie. Wszelkie „izmy" trącą doktryną, spekulacją myślową. A sztuka Prokofjewa jako całość jej nie posiada. Nie pozwala mu na to jego duży temperament, talent oraz owa bystra, żywa inteligencja.

Zgodzić się natomiast trzeba i to nie ulega żadnej dyskusji, że Prokofjew jest twórcą naprawdę współczesnym i rasowo-rosyjskim. Górującym elementem jego muzyki są przejawy instynktu narodowego, podkreślające jeszcze ten jej współczesny charakter. I dlatego sztuka jego jest tak bardzo bezpośrednią. Nasuwa, jak już zauważyłem na innem miejscu, wiele myśli dalekich od pesymizmu. Bo widzimy, że do głosu przychodzą istotne wartości, związane z życiem, nie błąkające się już po secesyjnie zawiłych linjach hasła „sztuki dla sztuki", dalekie od „estetyzowania", szukającego pojęcia piękna w podręcznikach...

W ślad za nowym, nazwijmy to nawet, zresztą słusznie, odruchem, idzie wysiłek w kierunku odnalezienia jaknajbardziej prostych środków wyrazu, jaknajbardziej prostej formy. Czy doświadczenia są zawsze udane, to sprawa inna. Trudno by było nawet tego żądać. Niemniej tendencje są zdrowe.

Koncert fortepianowy odegrał z towarzyszeniem orkiestry sam kompozytor, zaprzeczając swem wykonaniem utartym (znowu!) poglądom, że cechą współczesnej sztuki odtwórczej winien być brak uczucia...

Orkiestrę prowadził Adam Dołżycki.

W. NARUSZ

P. S. W poprzednim numerze „Myśli Narodowej" w artykule omawiającym kwartalnik „Muzyka Polska" wkradł się błąd, wypaczający zupełnie intencję. Mianowicie, pisząc o braku linji ideowej, odczuwanej wraz z innemi dziedzinami sztuki także i przez muzykę, wyraziłem pogląd, że kwestja ideologji jest trudna, a nie nudna. Skorygowane zdanie winno brzmieć: „Sprawa najważniejsza i najpilniejsza, taka, którą się określa jako „palącą", a jednocześnie bardzo trudna".

FILM

APOLLO: „Csibi", film austryjacki reż. Al. Valfed.

Rzecz przetłumaczona na ekran z komedji teatralnej, o czem świadczą typowo teatralno-komedjowe sytuacje i zawikłania zabawnej akcji. Mimo to film został zmajstrowany zręcznie, jest zabawny i wesoły, gdyż nie wszystko jeszcze, co dobre w teatrze, już tak zaraz nie nadaje się na ekran. Czy sztuki teatralne nie posiadają w sobie nieraz momentów wybitnie kinowych? Czy kino, pozatem, nie wywarło wpływu na teatr? Są chwyty, które nie zawodzą i tu i tam.

Na podkreślenie zasługuje równie fakt, że „Csibi" nie zawiera żadnych niesmacznych drastyczności, bez czego wiele komedyj nie potrafi się obejść.

W głównej roli wiedenka, Franciszka Gaal, artystka może nie nazbyt piękna, ale b. miła i pierwszorzędna aktorka.

Muzyczka b. melodyjna.

Djalogi w miękkim djalekcie wiedeńskim.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. WŁADYSŁAW SKOCZYLAS

ÓSMEGO kwietnia, o godz. 7 wieczorem, zmarł znakomity artysta, profesor Władysław Skoczylas. Śmierć przyszła po dziesięciodniowej chorobie, dokonany na parę dni przed zgonem zabieg transfuzji krwi nie pomógł. Jest w tem bolesna tajemnica losu, że krwi własnej zabrakło nagle człowiekowi, który żywotnością i bujnością swego temperamentu artystycznego nas młodych przerastał. Najpiękiejsze Jego dzieła graficzne tętnią żywą krwią, krzepkie jak On sam, syn ludu; bo własną moc w nie grafik przelewał. Jemu krew cudza na nic się zdała.

Śmierć ta jest tragiczną niespodzianką, gdyż zabrała wielkiego artystę w pełni lat męskich, czynnego do ostatniej chwili. Teraz widzę, jak w ostatnim roku życia (czy to przypadek?) szereg zdarzeń zwarł się w krąg, niby wieniec, nad Jego pracą. Zainicjował i przeprowadził, na rok przed śmiercią, „Pierwszą Międzynarodową Wystawę Drzeworytu" w Polsce, imprezę o wielkiem znaczeniu kulturalnem i propagandowem urządził własną jubileuszową wystawę prac, zaszczycony został tytułem członka królewskiej Jugosłowiańskiej Akademji Sztuk Pięknym i bliższym może sercu tytułem członka honorowego Stowarzyszenia Pols. Art.

Grafików „Ryt", którego był założycielem i pierwszym prezesem. Nadali Mu tę godność Jego koledzy i uczniowie, towarzysze z pod znaku graficznego, wdzięczni Nauczycielowi. Wyrazem serdecznego przywiązania, skrytego pod żartobliwą formą ceremonjału wręczania, był adres, ofiarowany przez „Ryt" w dniu otwarcia Jego jubileuszowej wystawy... W tym ostatnim roku ukazała się także dawniej już przygotowana książka Skoczylasa o polskiem drzeworycie ludowym. Tak więc, odchodząc, znowu artysta zwrócił oczy w tą stronę, z której przed laty nadszedł. Zmarł, przygotowując wystawę Michałowskiego w IPS-ie.

Syn chłopski, w sztuce swej, pozostał wierny ziemi, która go zrodziła. Był nietylko artystą-Polakiem, był polskim artystą, a to jest daleko więcej. Sztuka Jego wyrosła ze sztuki ludowej, jak ziarno zasiane przez lud wyrasta z gleby. Ona Mu była pokarmem, a własną, z kolei, jak chlebem nakarmił innych. Na nikim się nie wspierał, nikogo nie naśladował. Dawał, a nie brał, Nawskroś indywidualny plastyk i znakomity wychowawca, działalnością własną pobudzał do pracy innych. Odnowiciel polskiego drzeworytu, stał się twórcą narodowej szkoły drzeworytnictwa.

Kategoryczny w wyrazie i duchu swej sztuki, indywidualny i mocny niezachwianą odrębnością, sam nie bał się wpływów i dlatego może niedoceniał ich szkodliwości dla słabszych. Stąd płynie zapewne Jego, czasem bardzo daleko posunięta tolerancja na stanowisku kierownika instytucji wystawowej. Zadraśnięty jednakże w swych najistotniejszych wierzeniach, staje się gorliwym głosicielem odrębności narodowej w sztuce. (W gruncie rzeczy był to 100 procentowy polonus). Temu zawdzięczamy, że z łamów „Gazety Polskiej", gdzie pisywał, rozlegał się w istocie głos krytyka narodowca — opinja narodowego artysty.

*

Ś. P. Władysław Skoczylas urodził się w roku 1883-cim, w Wieliczce, pod Krakowem. Po ukończeniu gimnazjum studjował w Wiedniu (1901 r.). W latach 1904 — 1906 studjuje u Axentowicza i Wyczółkowskiego, w Krakowie. Potem przebywa w Paryżu, wreszcie wyjeżdza do Lipska, by w tamtejszej Akademji sztuk Graficznych, poświęcić się już specjalnie studjowaniu grafiki. Rok 1914 przynosi mu nagrodę, im. Grohmana, za „Głowę górala"; w 1915-tym, po zwolnieniu z wojska, osiada w Zakopanem.

W roku 1919-tym przenosi się Skoczylas na stałe do Warszawy i dostaje decenturę rysunku i grafiki w Politechnice Warszawskiej. W tym czasie powstaje jego „Teka Zbójnicka" Z chwilą powstania Szkoły Sztuk Pięknych, obejmuje w niej katedrę grafiki. W 1930-tym został dyrektorem departamentu sztuki Ministerstwa W. R. i O. P. Po roku wraca z powrotem na katedrę grafiki w Akademji. Wespół ze ś. p. Stryjeńskim jest twórcą IPS-u.

Był założycielem Stowarzyszenia art. malarzy; „Rytm", stowarzyszenia art.-grafików polskich „Ryt", wiceprezesem „Towarzystwa Szerzenia Sztuki polskiej Wśród Obcych". Otrzymał wiele odznaczeń i nagród. Pozostawił po sobie przeszło 300 drzeworytów. Prace jego znajdują się we wszystkich większych muzeach Europy.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

PRZYSZŁOŚĆ...

PRZY stosunkowo zapewne nie bardzo wielkiem zainteresowaniu elity intellektualnej (*ville lumiere*...?) miał w Paryżu odczyt fizjolog japoński dr. Nachiroju o odmładzaniu organizmu ludzkiego zabiegami elektryzacyjnemi. Ponieważ nic ten temat niema wspólnego z życiem seksualnem, przeto prasa paryska (a za nią światowa) przeważnie przemilczały. Nie rozchodzi się też dr. Nachiroju o przedłużanie życia tylko o jego zintenzywnienie. Oto organizm ludzki, poddany silnemu prądowi elektrobiologicznemu wykazuje przyśpieszenie wszystkich funkcji a więc reakcji nerwowych, myśli, uczuć, które mogą odbywać się nawet 10 razy prędzej niż normalnie; człowiek wtedy i myśli i pracuje i... decyduje dziesięć razy prędzej. Wzrasta też siła i sprawność wszystkich zmysłów a więc oczu, uszu, powonienia, cała kultura fizyczna, elastyczność, gibkość, sprężystość organizmu. Ciało ludzkie staje się udoskonalonym motorem o niezwykłych możliwościach rozwojowych i wspaniałych perspektywach pozytywnej twórczości.

Według dr. Nachiroje Japończycy dzięki swojej już osiągniętej kulturze fizycznej, intellektualnej i moralnej są materjałem dobrym i podatnym dla tych przyszłych zabiegów elektrobiologicznych. Doświadczenia i próby już się zaczęły.

Paryż (*Lutetia Parisiorum*) odniósł się do tych rewelacji japońskiego uczonego sceptycznie i chłodno.

*

Uczony niemiecki w Brunswicku (Braunschweig) prof. Gasner odkrył, że kwas pruski działa w pewnych warunkach pobudzająco na rozwój roślin. Drzewka pomarańczowe zagazowane kwasem pruskim rosną prędzej i bujniej. Przeprowadzone planowe doświadczenia wykazały, że jednogodzinne już działanie kwasu pruskiego w 1% na krzaki bzu spowodowały, że bzy te po dwóch tygodniach stały się dwa razy większe i bujniejsze od drzewek nie poddawanych działaniu kwasu pruskiego.

Tamże, to jest w Niemczech, ziemniaki (*kartoffel*) po zabiegu elektryzacji ziemi, wydawały plon siedem razy... większy niż normalny ..

*

W Bohum (Niemcy) udało się prof. dr. Glundowi dokonać syntezy składników elementarnych białka zwierzęcego z... węgla. O ile odkrycie to się sprawdzi, dążenie i marzenie wielu uczonych o stworzeniu sztucznego białka zwierzęcego w laboratorjum spełni się. Byłoby to pierwszym wstępem do prób stworzenia sztucznych środków spożywczych z węgla i zaprzeczyłoby tezom tych chemiko-biologów (zwanych witalistami), którzy twierdzą, że do powstawania żywych substancji zwierzęcych potrzebna jest prócz zwyczajnych czynników fizyczno-chemicznych jeszcze dodatkowo specjalna „siła życiowa". Głównym składnikiem białka jest węgiel. Nic tedy dziwnego, że chemicy (biolodzy) obierają to za punkt wyjścia do stworzenia w laboratorjum sztucznego białka... Profesor Glund (Bohum) jest, zdaje się, na dobrej drodze.

*

Zmechanizowanie pracy, już nie tylko ręcznej, ale dosłownie mózgowej, przybiera w Stanach Zjednoczonych nieco niepokojące i nas rozmiary, skoro potem przerzuca się to na Europę i na świat cały.

Dopóki maszynizm udoskonalał produkcję rolną, można było jeszcze „się cieszyć" (żniwiarki). Racjonalizacja i mechanizacja w górnictwie już redukowały nieco groźniej świat robotniczy. Potem przyszły maszyny do sprzętu bawełny z pól (w 3 godziny to, co przedtem w 72 godziny). Potem masowa produkcja mechanicznego obuwia. Potem automatyczne zwrotnice kolejowe. Potem maszyny do czyszczenia butelek. Maszyny do żarówek cyrkonówek, osramówek. Maszyny tkackie, przy których na dwanaście warsztatów potrzebny jeden robotnik. Papierosy robią się same. Pończochy same. Puszki do konserw same.

Przy wielkich zakładach *General-Electric Westinghouse*, jak wszędzie indziej, specjalne istnieje laboratorjum *Rescarch-Bureau*, gdzie pracuje 400 inżynierów nad udoskonalaniem, upraktycznieniem, utanieniem... Szczyty Tayloryzmu... Stąd „bezrobocie technologiczne". Nie kapitał a maszyna wyzyskuje i bezlitośnie wypędza na bruk miljony.

Ale to ostatnie to już wstrętne. Maszyna do mnożenia, zastępująca człowieczy mózg dosłownie. Wystarczy wstawić taśmę kartonową z wydziurkowanemi w niej (zapomocą dopisania) liczbami, jakie należy pomnożyć. Zawrotne cyfry: 5.632.425 przez 328.214. Naciska się kontakt. Prawie natychmiast wysuwa się taśma już z rezultatem. Wszelkie omyłki i błędy wykluczone.

*

W styczniu r. 1934 pojawiły się w prasie amerykańskiej olbrzymie inseraty:

„Aparaty telewizyjne Junior firmy Western Elctric Comp. do nabycia za sumę 67 ½ dolara".

Programy szeregu wielkich stacyj nadawczych podają regularnie godziny transmisji ruchomych *pictures* (filmów) do domów i mieszkań prywatnych.

Równocześnie w Paryżu pierwsze próby telefonu - telewizora, narazie na przestrzeni 1 ½ kilometra (*Galeries Lafayettes* i redakcja *Matin*'a). Aparaty wyrabia amerykańska firma „*Baird-Television Corporation*". Próbami kierował inżynier H. J. Barton Chapple. Druga potem próba na przestrzeni Paryż — Londyn. Do zwykłych aparatów telefonicznych dołączany przesyłacz telewizyjny. Na małych ekranach ebonitowych obaj rozmawiający, oddzieleni tysiącem kilometrów, doskonale się widzą...

*

W Pradze Czeskiej pojawiły się w handlu automaty do nagadywania listów. Za wrzuceniem do automatu obiegowej monety nadaje się to jest nagaduje list, który potem za pociągnięciem rączki wypada z automatu jako nagadana płyta (żelatynowa). List do zwykłej koperty i wrzuca do skrzynki. Adresat zakłada do swego gramofonu i... list mówi.

*

Pierwsze zamordowanie... „Robota".

W Chicago oczywiście. Inżynier Capeller, który w swojem laboratorjum skonstruował poprzednio dwa *androidy*: *telervoxa* poruszanego telefonicznie i *teleluxa* „ożywianego" nie głosem, lecz sygnałami świetlnemi, wybudował trzeci, kombinowany z dwóch poprzednich, który umiał odpowiadać na pytania i prowadzić pewne krótkie rozmówki...

Konkurencyjny wytwórca „Robotów", były wspólnik inżyniera Capeller'a, namówił i przekupił laboranta i pomocnika Capellera. Laborant włożył automatom-androidom dynamitowe ładunki zegarowe w stalowe brzuchy. Wybuch nastąpił przedwcześnie, rozszarpał androidów i zdemolował całą czarnoksięzką pracownię.

Crafta aresztowano...

*

Lekarz angielski dr. Aleksander Cammon wynalazł i skonstruował maszynę, której nadał dość trudną nazwę:

Psychostatohyrtographomeganometr.

Jest to maszyna do mierzenia stopnia uczucia miłości, przyjaźni i affektów wogóle.

*

Pytanie: Czy ludzie będą szczęśliwsi w drugiej połowie XX wieku?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Czego teraz nie piszą! Słynny pisarz portugalski Jeno Raz Allerano napisał powieść o burmistrzu pewnego miasteczka w południowej Ameryce. Pragnąc się reaktywować na stanowisku, a był już stary, udał się on do zakładu, stosującego system Woronowa. Tam, wskutek pomylenia kartek, lekarz wziął burmistrza za pawjana, a zastrzyk zrobił małpie. Gdy małpę posłano do miasteczka, ludność była zachwycona korzystną odmianą. Przez wdzięczność sprowadzono potem rzekomego pawjana i osadzono go w ślicznym pawilonie ogrodu zoologicznego. Zacny burmistrz dokonał tam, jako pawjan, reszty dni swoich w spokoju, dostatku i poważaniu.

Krytyka, hołdująca modnemu dziś kierunkowi materjalistycznemu, uznała to dwuznaczne opowiadanie za programowy wzór, jak należy „podchodzić" w sztuce do rzeczywistej rzeczywistości.

*

Życie świadome.

Słynna belletrystka żydowska p. Irena Krzywicka, przesycona banalnością stosunków ludzkich, opisała w marcu (zawsze aktualna) na łamach swego organu literackiego—romans kotów. Realizm posunięty do szczytów niedyskrecji. Obecnie pracuje nad reportażem, w którym pokaże romans psów. Ten może nie będzie tak krzykliwy, aczkolwiek także można go przerobić na film dźwiękowy, gdy się doda akompanjament z refrenu popularnej piosenki.

Schodzi się potrochu—na psy.

*

Dzieci w szkołach już się uczą na pamięć nazwisk wielkich pisarzy współczesnych, według zaleconych kartek pocztowych z wizerunkami akademików. Nauczyciele nie mogą sobie dać rady. Uczeń odpowiada:

— Zenon Boy Bandrowski,
Tadeusz Kaden Przesmycki,
Juljusz Miriam Żeleński.

— Źle! A ty? — pyta profesor następnego:
Tadeusz Miriam Bandrowski,
Juljusz Boy Przesmycki,
Zenon Kaden Żeleński.

Jeden zaś uczeń zrobił syntezę: Miriam Boy Kaden. Samemu nauczycielowi pomieszało się w głowie. Po miesiącu dostał megalomanji; idąc kurytarzem szeptał: jestem Kaden. Kaden jestem.

PREMJUM

Wszyscy prenumeratorzy, którzy do 10-go kwietnia b. r. opłacą „MYŚL NARODOWĄ" za kwartał II i III (w kwocie 17 zł.), otrzymają bezpłatnie i franco książkę

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

„PIEŚŃ W GÓRACH"

(cena w handlu złotych 5.—)

Ktoby tę książkę już posiadał, — — — — — — na żądanie otrzyma książkę

JOACHIMA BARTOSZEWICZA

„ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ"

Premjum rozesłane będzie i tym wszystkim, którzy opłacili prenumeratę roczną lub przed 1-ym lipca opłacą II półrocze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.